



Uuk Quality Books

Robert Sheckley

Dziesiąta ofiara

Przekład: Andrzej Bukojemski

Tytuł oryginału: *THE 10TH VICTIM*

Data wydania: 1999 r.

Data wydania oryginalnego: 1965 r.

Spis treści:

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

Dla Alissy

Rozdział 1

Każdy mężczyzna uznałby ją za kobietę swojego życia. Caroline Meredith, wysmukła i gibka, siedziała przy wysokim mahoniowym barze. Założyła prowokacyjnie długie, szczupłe nogi, jej pociągła, delikatnie rzeźbiona twarz (przypominająca antyczny nefryt koloru najwspanialszej kości słoniowej) sprawiała wrażenie zamyślanej, a wzrok był skierowany w niezgłębioną toń kieliszka martini. Chwilami zastygła nieruchomo, jak oblicze posągu, potem niespokojnie się ożywiła. W sukience z lekkiego jedwabiu i czarnej jak węgiel sobolowej pelerynce, zarzuconej niedbale na wspaniałe ramiona, Caroline stanowiła ucieleśnienie tego, co najwspanialsze, najlepsze i najbardziej pożądane w tym dziwnym, nieporównywalnym z niczym Nowym Jorku, przynajmniej według wyobrażenia ściągających tu zewsząd turystów.

Mężczyzna stał jak w transie ze trzy metry przed szklaną ścianą baru, w którym piękna Caroline wpatrywała się w swój kieliszek. Był Chińczykiem, najprawdopodobniej znakomitym handlowcem z Kweiping. Wskazywało na to białe jedwabne ubranie, krawat z szantungu i brokatowe pantofle. Z szyi zwisała mu wielka nowiutka kamera bronica.

Chińczyk podniósł do oka kamerę tak, jakby nic go tu nie interesowało. Po prostu coś tam

fotografował. Zrobił zdjęcie rymny z lewej strony, schodów z prawej, a potem skierował aparat na Caroline.

Starannie zogniskował obiektyw. Przekładnie zawarzały i zabrzączały, z boku kamery otworzyła się klapka.

Z otworu zgrabnie wyskoczyło pięć wydrążonych pocisków i pokrywa aparatu zamknęła się. Bo tak naprawdę nie była to zwykła kamera, nie była to też broń. Chińczyk posługiwał się strzelbo-kamerą lub kamero-strzelbą, albo używając właściwego, popularnego określenia (choć utworzonego całkiem niedawno), przekształcanką, czyli wyrobem należącym do klasy przedmiotów przeznaczonych do wykonywania dwóch zupełnie różnych funkcji.

Jak polujący dziki kot, żółte niebezpieczeństwo poruszało się w kierunku swojego celu lekkimi, szybkimi krokami. Jedyne troszkę nerwowy oddech mógł zdradzić zamierzenia Łowcy przypadkowemu widzowi.

Piękna Caroline pozostawała w dalszym ciągu w tej samej pozie i w tym samym miejscu. Uniosła kieliszek do góry. Nie było w nim karteczki z wróżbą; na dnie kieliszka znajdowała się inna, jeszcze bardziej pożyteczna rzecz: małe lustro, w którym z prawdziwym zainteresowaniem obserwowała działania zabójcy z Kwangtungu.

Nadchodziła chwila prawdy. Chińczyk nakierował obiektyw aparatu. Jednak Caroline, wykazując się nadzwyczajnym refleksem, rzuciła w szybę swój kieliszek dokładnie ułamek sekundy wcześniej, nim syn piekiel nacisnął spust aparatu.

— Och! Doprawdy. Przecież mówiłem! — mruknął Chińczyk (urodził się na lewym brzegu rzeki Hungshui, ale wykształcenie pobierał u Harrodsa).

Caroline nie skomentowała wydarzenia ani jednym słowem. Kilkanaście centymetrów ponad jej głową w szklanej ścianie baru widniał teraz gwiazdzisty otwór. Zanim zawstydzony Chińczyk zdążył strzelić ponownie, Caroline przypadła do podłogi, a zaraz potem skoczyła na zaplecze jakby gonili ją wszyscy diabli.

Barman, który śledził wzrokiem całą akcję, skłonił głowę z podziwem. W zasadzie był kibicem piłkarskim, ale dobre Polowania oglądał z prawdziwą przyjemnością.

— Punkt dla ciebie, maleńka! — zawołał za znikającą Caroline. W tym momencie handlowiec z Kweiping wpadł do baru i przemknął na zaplecze w pogoni za piękną, uciekającą dziewczyną.

— Witamy w Ameryce — wykrzyknął do niego barman. — I owocnego Polowania!

— Siękuję, bardzo mi się spieszy — uprzejmie odpowiedział Żółty Diabeł. To, że odezwał się tak uprzejmie, w najmniejszym stopniu nie zmniejszyło szybkości jego pościgu.

— Trzeba przyznać tym żółtkom — barman rzucił do klienta siedzącego na końcu baru — że mają dobre maniery.

— Jeszcze jedno podwójne martini — zamówił gość z końca baru — ale tym razem przyklej plasterki cytryny na brzegu szklanki. Chcę przez to powiedzieć, że są tacy, co nie lubią, żeby im cytryna pływała jak w plantatorskim ponczu, czy podobnej lurze.

— Tak, proszę pana, oczywiście, bardzo pana przepraszam — powiedział barman z wyraźnie nie zmaconym humorem. Mieszał trunki bardzo starannie, ale cały czas rozmyślał o chińskim Łowcy i jego amerykańskiej Ofierze. Które z nich zwycięży? Jak to się potoczy dalej?

Mężczyzna przy barze musiał chyba czytać w jego myślach.

— Stawiam trzy do jednego — powiedział.

— Na kogo?

— Dziewczyna pokona żółtka.

Barman zawahał się, a potem uśmiechnął, skinął głową i podał drinka.

— Podnoszę na pięć do jednego. Ta dziewczyna wygląda mi na taką, co zna się na rzeczy.

— Niech będzie — zgodził się mężczyzna, który też znał się na rzeczy. Wycisnął kropelkę oliwy na przejrzystą powierzchnię swojego drinka.

Błyskając długimi nogami, z sobolową narzutką pod pachą, Caroline pędziła przez tandetną wspaniałość Lexington Avenue. Torowała sobie drogę wśród tłumu zbierającego się na publiczną egzekucję. U zbiegu Sześćdziesiątej Dziewiątej i Park miano wbić przestępcę na wielki, granitowy pał. Nikt nie zwracał uwagi na biegnącą dziewczynę. Wszystkie oczy były skierowane na wstrętne gościa kryminalistę, prostaka z Hoboken. Pod jego nogami leżał zgnieciony papierek po batoniku Hersheya, na rękach miał rozmazaną czekoladę. Widzowie z kamiennymi twarzami słuchali jego fałszywie szczerych przeprosin i patetycznych błagań, z zacięciem obserwowali, jak jego twarz nabiera barwy popiołu, kiedy dwóch publicznych egzekutorów uniosło go za ręce i ramiona, wysoko w górę, ustawiając do końcowego wbicia na Pał Złoczyńców. Nowo utworzona instytucja egzekutorów publicznych cieszyła się wielkim zainteresowaniem (czego mielibyśmy się wstydzić?). W tej chwili klasyczna metoda morderstwa, z Łowcą i Ofiarą, budziła o wiele mniejszą ciekawość zgromadzonych, gdyż była to metoda, której rezultat nie budził wątpliwości: i tak wiadomo, że jedna z osób musi zginąć.

Caroline biegła, jej blond włosy falowały swobodnie jak flaga na wietrze. Niecałe dwadzieścia metrów za nią, lekko dysząc, podążał spocony Chińczyk z kamero-strzelbą zaciśniętą w obu rękach. Jego bieg nie wydawał się specjalnie szybki, ale mimo to, z każdym krokiem, wykazując niezmaconą cierpliwość tak charakterystyczną dla ludzi Wschodu, zbliżał się do pięknej dziewczyny.

W tej chwili wołał nie ryzykować strzału. Strzelanie bez starannego wycelowania nie dawało gwarancji sukcesu, a zabicie lub zranienie postronnej osoby, nieważne że przypadkowo, okryłoby go hańbą, spowodowałoby nieodwracalną utratę twarzy, jak również surową karę.

Dlatego na razie jeszcze nie strzelał. Mocno przyciskał do piersi aparat, który dzięki

perwersyjnemu geniuszowi ludzkiemu potrafił równocześnie wykonać odbitkę i zniszczyć oryginał. Uważny obserwator mógłby jedynie zauważyć ostrzegawcze drżenie palców oraz lekkie usztywnienie mięśni na karku. Ale to była całkiem naturalna reakcja, gdyż Chińczyk miał za sobą zaledwie dwa Polowania, czyli natężał do klasy początkujących w tym najważniejszym społecznym zjawisku epoki.

Caroline już ciężko dyszała, ale mimo to nie straciła nic ze swojej olśniewającej urody. Dotarła do rogu Sześćdziesiątej Dziewiątej i Madison Avenue, szybko się rozejrzała, przeszła obok Smakowitych Drobiowych Delikatesów (dla grup liczących ponad pięćdziesiąt osób ceny do uzgodnienia) i nagle się zatrzymała. Tuż za delikatesami zobaczyła otwarte drzwi. Bez namysłu wbiegła w nie i popędziła schodami na pierwsze piętro. Znalazła się na szerokim, zatłoczonym korytarzu, na którego drugim końcu widniał szyld: „Gallerie Amel: Objets de pop-op revisité”. Zorientowała się natychmiast, że jest w galerii sztuki, którą zawsze chciała odwiedzić, jednakże w nieco przyjemniejszych okolicznościach.

Zabija się kiedy można, umiera się kiedy trzeba — tak poucza stare porzekadło. Dlatego też, nie oglądając się za siebie zaczęła się przepychać do przodu, ignorując gniewne pomruki potrącanych ludzi. Gdy znalazła się przy wejściu, okazała swoją kartę umundurowanemu strażnikowi.

Karta wydawana jest każdej Ofierze (jak również Łowcy) i daje im Natychmiastowe Prawo Wstępu lub Wyjścia w ramach legalnej obrony swojego życia lub równie legalnego odbierania życia przeciwnikowi. Strażnik skinął głową i wpuścił Caroline do galerii.

Zmusiła się do zwolnienia kroku i wzięcia katalogu. Cały czas starała się opanować oddech. Włożyła okulary, owinęła się szczelnie narzutką i powoli zaczęła się przesuwać przez kolejne sale.

Lekko przyciemnione okulary były nowym modelem typu zwanego „Patrz wkoło”, który dawał prawie trzystusześćdziesięciostopniowy krąg widzenia z niewielkimi, ale denerwującymi martwymi punktami przy czterdziestym drugim oraz osiemdziesiątym trzecim stopniu, a także z obszarem zniekształceń obrazu z tyłu, od trzysta pięćdziesiątego do dziesiątego stopnia. Jednak, mimo tych niedogodności, jak również ostrego bólu głowy, jaki powodowały, okulary były w sumie ogromnie użyteczne. Dlatego też Caroline szybko dostrzegła swojego Łowcę. Stał jakieś trzy metry za nią,

Tak, to był on, jej osobista azjatycka plaga. Jego białe ubranie było mokre od potu, a krawat dziwnie się przekrzywił, ale mordercza kamera znajdowała się nadal w jego rękach, mocno przyciśnięta do piersi. Zbliżał się bezlitosnym krokiem dzikiej bestii, z oczami zwężonymi do wąskich szparek i czołem pobrużdżonym od intensywnej koncentracji.

Caroline posuwała się pozornie niedbałymi ale pośpieszonymi ruchami tak, aby między nią a jej przeznaczeniem z Kwangtungu znalazło się możliwie dużo widzów.

Ale John Chińczyk już ją zobaczył. Nie zwlekając ruszył w kierunku tłumu zwiedzających, gdzie znalazła schronienie. Zaciśnął usta jeszcze bardziej, oczy zwężyły się tak, że już naprawdę niewiele mógł widzieć.

Mimo to spostrzegł, że jego Ofiara zniknęła. Uciekła, wymknęła mu się, wyparowała... Ach, tak! W kąciaku jego ust zagościł uśmiech. Przez tłum widział niewielkie drzwi. W nagłym błysku

intuicji, bez konieczności szukania krok po kroku logicznego rozwiązania w zachodnim stylu, znalazł wyjaśnienie swojego problemu, tam uciekła! Z determinacją, ale i lekkim współczuciem, on również podążył tamtędy.

Za drzwiami zobaczył imitacje figur woskowych. Chociaż nie, to były prawdziwe figury z prawdziwego wosku, takiego, jaki był używany w Czasach Starożytnych. Wpatrywał się w nie szeroko otwartymi oczami. Wszystkie figury wyobrażały kobiety, bardzo atrakcyjne (przynajmniej według zachodnich standardów) i skąpo ubrane (według wszelkich standardów). Wydawało się, że to uchwycone w ruchu różne pozy jakiegoś tańca. Plakietka informowała: „Strip-tease”, fałszywa metamorfoza. 1945: Wiek niewinności; 1965: Zastój; 1970: Renesans; 1980: Nieformalne wyzwanie dla formalizmu...”

Z trudem rozumiał te sceny, gdyż przyzwyczajony był do podziwiania piękna lasów z laki, miniaturowych, zaklętych w bezruchu rzek, stylizowanych żurawi... Po chwili jednak znalazł coś znajomego i całkiem zrozumiałego.

Jedna z figur, trzecia z lewej, miała długie blond włosy zakrywające twarz, a u jej stóp leżała wspianiała sobolowa narzutka.

Chińczyk nie zastanawiał się ani chwili. Uniósł kamerę, wycelował i nacisnął spust. Rezultat, trzy przestrzeliny zgrupowane w kółku o średnicy pięciu centymetrów wokół przepony, stanowił niezłą robotę według dowolnych standardów.

Wreszcie sprawa była zakończona, dokonał tego morderstwa, wygrał, nagroda jest jego...

Nagle w oddalonym końcu sali ożyła jedna z figur. Obróciła się. Caroline! Ubrana tylko w połowie, górną część jej wspianiałego ciała okrywał jedynie dziwny metalowy stanik przypominający odzienie Wihny, legendarnej żony Królika Rogersa.

Ale Caroline miała bardziej praktyczny powód do noszenia tego archaicznego stanika niż tylko dla samego wyglądu. Kiedy stanęła przed zaskoczonym Łowcą, z obu napierśników wystrzeliły pojedyncze pociski. A Łowca miał zaledwie czas na stwierdzenie: „Wszystko wyjaśnia się po kolei”, zanim padł, martwy jak wczorajsza makrela na ladzie sklepu rybnego.

Sporo widzów przyglądało się tej scenie. Jeden z nich podzielił się opinią z sąsiadem:

— Ja bym to ocenił jako pospolite zabójstwo.

— Nie zgadzam się z panem — brzmiała odpowiedź, — To było rycerskie zabójstwo, jeśli mi pan wybaczy archaizm.

— Czyste, lecz wulgarne — oponował pierwszy. — Można by je nazwać zabójstwem z fin de sieclu, nie uważa pan?

— Z całą pewnością, jeśli się lubi dęte analogie.

Zmiażdżony, pierwszy rozmówca odwrócił się z godnością i zagłębił w podziwianiu

retrospektywnej wystawy dokonań NASA.

Caroline podniosła czarne sobole (które kilka kobiet przyglądających się wydarzeniom rozpoznało jako farbowanego piźmoszczura), przedmuchała lufy swojego pożytecznego staniczka, uporządkowała ubranie, narzuciła futro i zeszła z postumentu.

Większość gości w ogóle nie zwróciła uwagi na całe zajście. To byli prawdziwi miłośnicy sztuki, którzy nie pozwalali, by nieistotne zdarzenia zakłócały im kontemplację arcydzieł.

Wkrótce pojawił się policjant i niespiesznie podszedł do Caroline.

— Łowczyni czy Ofiara? — spytał.

— Ofiara — odparła Caroline podając mu kartę.

Policjant schylił się nad ciałem Chińczyka, odszukał portfel i wyjął podobną kartę. Przekreślił ją dużym X, a na karcie Caroline wydziurkował gwiazdkę na końcu rzędka podobnych dziurek.

— Dziewiąte Polowanie, panienko? — upewnił się ojcowskim tonem.

— Zgadza się — odparła poważnie Caroline.

— No, nieźle, naprawdę ładne zabójstwo — pochwalił policjant. — Żadnej takiej rzeźni, jak u niektórych. Lubię dobrą robotę, wszystko jedno czy chodzi o zabijanie, czy gotowanie, reperowanie butów, czy cokolwiek innego. A teraz, jakie są pani życzenia w odniesieniu do pieniędzy za nagrodę?

— Och, niech Ministerstwo po prostu przeleje je na moje konto.

— Zawiadomię ich. Dziewięć zabójstw! Zostało jeszcze tylko jedno, prawda?

Caroline bez słowa skinęła głową. Tymczasem wokół niej zaczął się już gromadzić mały tłumek złożony wyłącznie z kobiet, które stopniowo odpychały policjanta. Łowczyni nie była nieznanym zjawiskiem, ale w dalszym ciągu wystarczająco rzadkim, aby zwrócić na siebie uwagę.

Paplały o swoim podziwie i Caroline przyjmowała to wdzięcznie przez dłuższy czas. W końcu jednak poczuła się bardzo zmęczona. Żaden normalny człowiek nie pozostanie całkowicie nieczuły na emocjonalne oddziaływanie procesu zabijania.

— Serdecznie wam wszystkim dziękuję, ale teraz naprawdę muszę iść do domu i odpocząć. Panie policjancie, czy byłby pan uprzejmy przesłać mi krawat Łowcy? Chciałabym go zatrzymać na pamiątkę.

— Pani słowo jest dla mnie rozkazem — powiedział szybko policjant, torując Caroline drogę przez podekscytowany tłum, który towarzyszył jej aż do taksówki.

* * *

Pięć minut później do pomieszczenia wszedł niewysoki brodaty mężczyzna ubrany w sztruksową marynarkę i francuskie pumpy. Ze zdumieniem rozglądał się po pustej galerii. A przecież mówiono, że jest jedną z najlepszych na świecie. Nieważne. Rozpoczął systematyczne oględziny ekspozycji.

Ze znanstwem potakiwał przy kolejnych obrazach, rzeźbach i innych obiektach. W końcu dotarł do ciała Chińczyka, rozciągniętego na środku podłogi i jeszcze lekko krwawiącego. Wpatrywał się w nie długo i z uwagą, poszukiwał w katalogu wystawy i w końcu doszedł do wniosku, że eksponat dotarł za późno i nie zdążono go wpisać. Przyjrzał się z bliska, starannie przemyślał sprawę, był już pewien swojej opinii.

— Zaledwie ozdoba architektoniczna — stwierdził autorytatywnie. — Być może efektowna, ale wyłącznie dla osób o plebejskim guście.

Przeszedł do następnego pomieszczenia.

Rozdział 2

Czy istnieje coś piękniejszego niż czerwcowy dzień? Dziś możemy już dać ostateczną odpowiedź na to pytanie. Otóż znacznie piękniejszy jest dzień w połowie października, kiedy Wenus wchodzi do Domu Marsa, a turyści, na podobieństwo lemingów, kończą tajemniczą letnią migrację i udają się (przynajmniej większość z nich) do swoich wilgotnych i okropnych krajów, w których się urodzili.

Jednakże niektórzy z tych poszukiwaczy słońca i ciepła zostają na miejscu. Wymyślają różne nędzne wymówki: a to przyjęcie, a to jakieś rozgrywki, nadzwyczajny koncert, czy konieczne spotkanie z kimś ważnym. Ale prawdziwy powód jest zawsze ten sam. Rzym ma własną, bardzo swoistą atmosferę, zwodniczą, lecz jednocześnie jedyną w swoim rodzaju. Rzym daje człowiekowi okazję, by stał się głównym aktorem w dramacie własnego życia. (Okazja jest oczywiście złudna, ale we flegmatycznych miastach pomocy o takich okazjach nawet się nie myśli).

* * *

Baron Erich Seigfried von Richtoffen nie zastanawiał się nad tymi sprawami. Na jego twarzy malowała się normalna dla niego irytacja i niewiele więcej. Niemcy go drażniły (lenistwo), Francja go mierziała (brud moralny), a Włochy równocześnie go drażniły i mierzły (lenistwo, brud moralny, egalitaryzm i dekadencja). Jednak, mimo nienaprawialnych wad Italii, przyjeżdżał tu co roku. Był to jedyny kraj pośród wszystkich innych obrzydliwych krajów, który jeszcze mógł brać pod uwagę jako miejsce wakacji. A ponadto miał swój doroczny Międzynarodowy Pokaz Koni na Piazza di Sienna.

Baron był wspaniałym jeźdźcem. (Czyż jego przodkowie nie wdeptywali wieśniaków w błoto kopytami swoich rumaków odzianych w zbroje?) W tej chwili znajdował się w stajni i słuchał fanfar granych przez konnych karabinierów paradujących po Piazza w swoich bogato zdobionych uniformach.

Był krańcowo poirytowany, gdyż stał w samych skarpetkach i czekał na powrót koniuszego, który miał mu przynieść buty (nigdy nie można go znaleźć, kiedy jest naprawdę potrzebny). Przecież poszedł już osiemnaście minut i trzydzieści dwie sekundy temu, jak to wyraźnie wskazywał Accutron na przegubie barona. Ile czasu może zabrać wypolerowanie jednej pary butów? W Niemczech, lub ściślej rzecz biorąc, w miejscowości Richtoffenstein (którą baron uważał za jedyny pozostały jeszcze fragment Prawdziwych Niemiec), buty polerowane są perfekcyjnie w przeciętnym czasie siedmiu minut czternastu sekund. Natomiast taka opieszałość może doprowadzić człowieka do szału albo do płaczu, do białej gorączki, albo do zrobienia czegoś...

— Enrico! — Głos barona dotarł chyba aż do Pól Marsowych. — Enrico, gdzie u diabła się podziewasz?

Żadnego odzewu... A na Piazza niewydarzony elegancik z Meksyku kłaniał się właśnie sędziom. Baron był następny. Ale nadal nie miał butów, niech to szlag, nie miał butów!

— Enrico, ty łotrze, albo przyjdiesz tu natychmiast, albo dziś wieczorem popłynie krew! — wykrzyczał. Było to długie zdanie i pod koniec baron już był bez tchu. Nasłuchiwał teraz odpowiedzi.

A gdzie się podziewał nieuchwytny Enrico? Otóż siedział pod główną trybuną i doprowadzał do lustrzanego połysku parę butów tak pięknych, że mogły wzbudzić zazdrość każdego jeźdźca. Enrico był wychudłym starym człowiekiem, pochodzącym z Emilii. Do Rzymu przyjechał na ogólne życzenie uczestników pokazu, uznawano bowiem powszechnie, że nikt, nawet adepci Samodoskonalenia się w Sztuce Połysku według filozofii Zen, nie zna lepiej sztuki polerowania niż on.

Enrico kontynuował pracę, koncentrując się teraz na błyszczących ostrogach. Z wielkim napięciem, delikatnie nakładał stalowosrebrną substancję na srebrzyste, stalowe ostrogi.

Nie był sam. Za nim, przyglądając mu się z zainteresowaniem, stał mężczyzna, którego można było wziąć za jego brata bliźniaka. Obaj nosili identyczne aż do ostatniego, najdrobniejszego szczegółu ubranie. Odróżniało ich tylko to, że drugi Enrico był związany i zakneblowany.

Na zewnątrz tłum wydawał okrzyki podziwu dla Meksykanina. Ale ponad nimi przebił się wojenny ryk barona.

— Enrico!

Enrico numer jeden powstał pośpiesznie, dokonał końcowych oględzin butów, postukał Enrica numer dwa w czoło między linami i, kulejąc, szybko przeszedł pod główną trybuną w kierunku swojego aktualnego pana.

— Ha! — stwierdził baron i uzupełnił to bezładnym ciągiem określeń po niemiecku, niezrozumiałych, lecz bez wątpienia obraźliwych dla pokornego Enrica.

— No dobrze, przyjrzyjmy się temu. — Irytacja barona wreszcie zesła do zwykłego poziomu. Obejrzał starannie buty i uznał, że są bez zarzutu. Mimo to przetarł je irchową szmatką, którą zawsze nosił w kieszeni jako użyteczną pomoc do pouczenia stajennych o ich miejscu w porządku rzeczy. — Wkładaj — rozkazał, wystawiając potężną germańską nogę.

Wciąganie butów, któremu towarzyszyło dużo wysiłku i przekleństw, zostało zakończone dokładnie w chwili, kiedy meksykański jeździec (miał wypomadowane włosy!) opuszczał plac, żegnany burzliwym aplauzem.

W końcu obuty, ze starannie osadzonym monoklem, baron maszerował do stanowiska sędziów ze swym wiernym koniem, słynnym Carnivora III^[1] po Astrze i Asperze^[2].

Doszedł do linii prezentacji, dokładnie trzy kroki przed stanowiskiem sędziowskim, i zatrzymał się. Główny sędzia obrócił się w stronę barona, a ten skłonił głowę o pięć centymetrów i wspaniale strzelił obcasami.

W tej właśnie chwili rozległa się głośna eksplozja, a zaraz po niej powstał obłoczek szarego dymu.

Kiedy dym się rozwiął, wszyscy zobaczyli barona idącego twarzą do dołu niż przed stanowiskiem prezentacji, martwego jak flądra z zeszłego tygodnia.

Nastąpiło pandemonium, zakończone emocjonalnym *katharsis*, do których nie przyłączyła się tylko jedna osoba, Anglik ubrany w workowaty tweed i szkockie buty wazące dwa i trzy czwarte funta każdy. Wołał zdecydowanym, donośnym głosem:

— Koń! Czy koniowi nic się nie stało?

Po upewnieniu się, że koń wyszedł z tego bez szwanku, Anglik usiadł z powrotem na swoim miejscu mruczając, że detonowanie ładunków wybuchowych tak blisko, to zbrodnia wobec konia, i że istnieją kraje, w których sprawca takiego czynu spotkałby się z natychmiastowym zainteresowaniem policji.

Jednak również tutaj sprawca spotkał się z natychmiastowym zainteresowaniem policji, gdyż sam wyszedł ze stajni i odrzucił przebranie.

Do tej pory występował jako Enrico numer jeden, teraz jednak ustalono, że to Marcello Polletti, mężczyzna w wieku czterdziestu, a może trzydziestu dziewięciu lat, o przystojnej, choć trochę melancholijnej twarzy i wzroście powyżej średniego. Miał wyraźnie zaznaczone kości policzkowe wskazujące na naturę głęboko namiętną, lekki uśmieszek sceptyka oraz brązowe oczy z ciężkimi powiekami, które wyraźnie mówiły o skłonności do lenistwa. Ludzie zgromadzeni na placu, a było ich tysiące, natychmiast zauważyli wszystkie te cechy i zaczęli je komentować, wykazując się przy tym wielką mądrością.

Polletti uklonił się z wdziękiem wiwatującemu tłumowi i okazał najbliższemu policjantowi licencję Łowcy.

Policjant sprawdził starannie kartę, przedziurkował, zasalutował i oddał Pollettiemu.

— Wszystko w porządku, proszę pana. Pozwoli pan, że jako pierwszy pogratuluję panu tego tak ekscytującego, a zarazem estetycznego zabójstwa.

— Jest pan bardzo uprzejmy — odparł Marcello.

Wokół niego zdążył się już zebrać tłum reporterów, poszukiwaczy sensacji i wszelkiego rodzaju sympatyków. Policja odsunęła wszystkich, zostawiając jedynie dziennikarzy, i Marcello ze spokojną godnością odpowiadał na ich pytania.

— Dlaczego użył pan silnych materiałów wybuchowych i umieścił je na ostrogach barona? — spytał francuski reporter.

— To chyba oczywiste. Przecież baron nosi kamizelkę kuloodporną — wyjaśnił Polletti.

Dziennikarz pokiwał głową i już pisał w swoim notatniku: „Strzelanie obcasami, tak charakterystyczne dla Prusaków, i które kiedyś stanowiło zwiastun nieszczęścia dla tak wielu ludzi, dziś, jak na ironię, przyniosło zły los jednemu z nich. Śmierć w chwili, gdy dokonuje się symbolicznego aktu arogancji, która zakłada wyższość jednych ludzi nad innymi a, w konsekwencji, nieśmiertelność, z całą pewnością można nazwać „śmiercią egzystencjalną”. Takie przynajmniej wrażenie sprawił na nas czyn dokonany przez Łowcę Marel Poeti...”

— Jakie środki ostrożności pan przewiduje przy następnym Polowaniu, gdy będzie pan Ofiarą? — pytał meksykański reporter.

— Naprawdę nie wiem, z całą pewnością koniec będzie taki lub inny.

Dziennikarz pisał: „Mariello Polenzi zabija z łagodnością i oczekuje swojego przyszłego losu ze spokojem. Tym właśnie jest uniwersalne *machismo*: męska filozofia życia, życia ze świadomością, że śmierć może nadejść w każdej chwili, i akceptacja tej filozofii...”

— Czy jest pan twardy? — spytała amerykańska reporterka.

— Z całą pewnością nie.

Tym razem notatka brzmiała: „Brak chełpliwości połączony z całkowitą wiarą we własne siły czyni z Marcella Polletiego mężczyznę szczególnie pasującego do amerykańskiego wzoru zachowań...”

— Czy nie boi się pan, że może zostać zabity? — chciał wiedzieć japoński reporter.

— Oczywiście, że się boję.

„Zen jest umiejętnością widzenia rzeczy takimi, jakimi są. Można powiedzieć, że Marcello Polletti, który ze spokojem przyjmuje swój strach przed śmiercią, pokonał go na sposób właściwy Japończykom. Czy tak rzeczywiście jest? Nieuniknionym pytaniem pozostaje, czy akceptacja śmierci okazana przez Pollettiego jest wspaniałym pokonaniem niepokonywalnego, czy też po prostu przyjęciem nieprzyjmowalnego”.

O Pollettim prasa rozpisywała się szeroko. Nie co dzień zdarza się, aby na Międzynarodowym Pokazie Koni wysadzono w powietrze człowieka. Takie wydarzenie staje się głównym tematem serwisów informacyjnych.

No i nie mniej istotne znaczenie miało to, że Polletti był przystojny, skromny, elegancki, męski, a przede wszystkim wysławiał się w sposób dający się zacytować.

Rozdział 3

Gigantyczny komputer pomrukiwał i ćwierkał, błyskał czerwonymi lampkami i mrugał niebieskimi, wygaszał białe punkciki a zapalał zielone. To był komputer planujący Polowania, wielka maszyna, która miała swoje odpowiedniki we wszystkich stolicach cywilizowanego świata, i która splatała przeznaczenie wszystkich Łowców i wszystkich Ofiar. Losowo wybierała pary przeciwników, zapisywała wyniki ich pojedynków i przyznawała nagrody pieniężne zwycięzcom lub przesyłała kondolencje rodzinom przegranego. Graczom, którzy przeżyli, zmieniała rolę z Łowców na Ofiary i odwrotnie, trzymając ich nieodwołalnie w grze aż do momentu osiągnięcia arbitralnie ustalonej granicy dziesięciu.

Reguły były proste: do Polowania mógł przystąpić każdy, niezależnie od płci, rasy, wyznania czy narodowości; limit wieku wynosił od osiemnastu do pięćdziesięciu lat. Zgłoszenie dotyczyło zawsze wszystkich dziesięciu Polowań, pięciokrotnie jako Łowca, pięciokrotnie jako Ofiara. Łowca otrzymywał nazwisko, adres i fotografię Ofiary, Ofiara po prostu informację, że myśliwy jest na jej tropie. Wszystkie zabójstwa musiały być wykonane osobiście, a za zabójstwo postronnej osoby stosowane były ostre kary. Nagroda pieniężna wzrastała wraz z numerem zabójstwa. Niepokonany Zwycięzca Dziesięciu Polowań uzyskiwał prawie nieograniczone prawa publiczne, finansowe, polityczne i moralne.

I to wszystko. Było to tak łatwe jak skok w przepaść.

Od czasu inauguracji Polowań nie zdarzały się już większe wojny. Toczono jedynie niezliczone miliony małych wojen, ograniczonych do najmniejszej możliwej liczby uczestników: dwojga.

Udział w Polowaniu był całkowicie dobrowolny; wymyślono je biorąc pod uwagę rzeczywiste potrzeby ludzi. Jeśli ktoś chce kogoś zabić, twierdzono, to dlaczego mu na to nie pozwolić, jeśli tylko

będziemy w stanie znaleźć kogoś innego, kto również chce kogoś zabić. Obaj zainteresowani mogą się zabijać wzajemnie, zostawiając nas wszystkich w spokoju.

Chociaż Gra w Polowanie wydawała się czymś wyjątkowo nowoczesnym, w istocie nie była niczym nowym. Stanowiła po prostu nowoczesny pod względem technicznym nawrót do dobrych starych czasów, kiedy walczyli płatni najemnicy, a widzowie stojący na brzegach ubitej ziemi wymieniali uwagi na temat plonów.

Historia powtarza się cyklicznie. Przedawkowanie *jin* nieodwołalnie powoduje rozkwit *jang*^[3]. W pewnym momencie skończyły się czasy armii zawodowych (często bezczynnych), a nadszedł wiek armii masowej. Rolnicy nie wymieniali już więcej uwag na temat plonów, oni musieli sami o nie walczyć. Nawet jeśli nie mieli plonów, o które mieliby walczyć, to i tak byli zmuszeni do walki. Robotnicy byli uwikłani w jakieś bizantyjskie intrygi w krajach za morzami, szeregowi urzędnicy musieli walczyć o przeżycie w dżungli czy mroźnych górach.

Ale dlaczego walczyli? Wtedy odpowiedź była prosta i jasna, chociaż było ich wiele, a każdy przyjmował to, co najlepiej pasowało do jego poglądów. Ale to, co wydawało się oczywiste w jakimś momencie, z biegiem czasu przestawało już takie być. Historycy się spierali, ekonomiści sprzeciwiali się temu, psychologowie błagali o rozróżnianie różnych ras, a antropolodzy czuli potrzebę stawiania kropek nad i.

Rolnicy, urzędnicy i robotnicy czekali cierpliwie na jakieś wyjaśnienie, dlaczego naprawdę muszą ginąć? Ponieważ nie otrzymywali żadnej uczciwej i prawdziwej odpowiedzi, stawali się coraz bardziej zirytowani, oburzeni, a nawet wściekli. Czasami nawet byli skłonni zwrócić broń przeciw własnym zasadom.

Tego oczywiście nie można było aprobować. Wrogość między ludźmi plus techniczne możliwości zabicia każdego i wszystkiego, definitywnie pokonały *jang*, wystawiając na czoło *jin*.

Mając za sobą pięć tysięcy lat udokumentowanej historii, ludzie wreszcie zaczęli się orientować, że coś tu się nie zgadza. Nawet prawodawcy, którzy zawsze zmieniają się najwolniej zrozumieli, że trzeba coś z tym zrobić.

Wojny prowadziły donikąd, ale nadal istniał problem indywidualnej przemocy, która mimo niezliczonych lat religijnego nawracania i policyjnych represji pozostała niezmienną.

Rozwiązaniem tego problemu stały się w naszych czasach legalne Polowania.

Takie jest jedno z wyjaśnień powstania tej instytucji. Ale nieuczciwością byłoby zatajenie, że nie każdy zgadza się z tym wyjaśnieniem. Jak zwykle historycy się spierają, ekonomiści się sprzeciwiają, psychologowie błagają o rozróżnianie różnych ras, a antropolodzy czują konieczność stawiania kropki nad i.

Po wzięciu pod uwagę ich zastrzeżeń pozostajemy z niczym, poza nagim faktem samego Polowania. Jest to fakt tak samo dziwny jak rytuał pogrzebowy starożytnych Egipcjan, tak normalny jak ceremonia inicjacji Siuksów i tak niewiarygodny jak nowojorska Giełda.

Reasumując, istnienie Polowań można wytłumaczyć jedynie samym faktem ich istnienia, ponieważ jak twierdzą niektóre filozofie, NIC nie uzasadnia istnienia CZEGOKOLWIEK.

Lampki migoczą, obwody klikają, przekaźniki stukają, rolki się obracają. Perforowane karty trzepoczą się jak białe gołębie i komputer do gier łączy ze sobą dwa przeznaczenia.

Polowanie ACC1334BB: Łowczym: Caroline Meredith. Ofiara: Marcello Polletti.

Rozdział 4

— Caroline, chciałbym ci pogratulować pięknego zabójstwa — powiedział pan Fortinbras.

— Dziękuję panu.

— To już dziewiąte, o ile się nie mylę.

— Zgadza się, proszę pana.

— Zostało jeszcze tylko jedno, prawda?

— Tak proszę pana, jeśli dam sobie radę.

— Dasz sobie radę — zapewnił ją Fortinbras. — Dasz radę, ponieważ ja, J. Walstod Fortinbras powiedziałem, że potrafisz tego dokonać.

Caroline uśmiechnęła się skromnie. Fortinbras uśmiechał się wprost nieumiarkowanie. Był szefem Caroline, naczelnym UUU Teleplex Ampwork. Ten niepozorny mężczyzna mylił wielkość ducha z pompatycznością. Uwielbiał wulgarność, jeszcze większą skłonność miał do podłych postępów. Odchylił się do tyłu, strzepnął niewidoczny pyłek z rękawa marynarki (zaprojektowanej przez samego Fulaniego), zapalił ogromne cygaro, splunął na swój bezcenny bucharski dywan z włosiem siedmiocentymetrowej wysokości, wytarł usta lnianą chusteczką obrzeżoną koronką tkaną przez ubogich braminów, których warsztaty znajdowały się w pobliżu stosów pogrzebowych nad Gangesem, i dotknął czoła wypolerowanym przez manikiurzystkę paznokciem dla pokazania, że myśli.

Oczywiście nie myślał, próbował tylko wprawić swoje szare komórki w ruch. Próbował to robić od wielu lat, przynajmniej tak o nim mówiono. W rzeczywistości pan Fortinbras nie miał osobowości, o której warto byłoby wspomnieć. Wysoko kwalifikowani specjaliści pracowali latami, aby skorygować ten defekt, ale nic z tego nie wyszło. To było największe zmartwienie w życiu pana Fortinbrasa.

— Następnym razem będziesz Łowczynią?

— Tak, proszę pana.

— Dostałaś już zawiadomienie o swojej następnej Ofierze?

— Tak, proszę pana. To niejaki Marcello Polletti z Rzymu.

— Rzym w Nowym Jorku? — upewnił się Fortinbras.

— Rzym we Włoszech — poprawiła uprzejmie Caroline.

— Tym lepiej. Może być bardziej malowniczy. Mam pewien pomysł i chciałbym, byś go bardzo starannie przemyślała i powiedziała mi szczerze, co o nim myślisz. Chodzi mi o to, że skoro mamy tu u siebie potencjalną Triumfatorkę Dziesięciu, to czemu nie pójść dalej i nie zrobić pełnej dokumentacji tego dziesiątego zabójstwa? No, jak ci się to podoba?

Caroline zamyśliła się. Oprócz niej i Fortinbrasa w pokoju znajdowali się jeszcze trzej inni mężczyźni. Wszyscy trzej młodzi, przystojni, utalentowani i odpowiedzialni.

— O, tak! — wykrzyknął Martin. Jako pierwszy wicedyrektor do spraw produkcji, był on jedynym upoważnionym (oczywiście oprócz samego Fortinbrasa) do używania wykrzykników.

— Szefie, pan naprawdę trafił w sedno — zawtórował mu łagodnie Chet. (Według informacji z jego archiwum, w zeszłym roku wykonano trzydzieści siedem filmów dokumentalnych o różnych aspektach Polowań).

— Ja, osobiście, nie byłbym pewny, czy to jest właściwe — zastrzegł się Cole. Jako najmłodszy wicedyrektor, Cole miał nieszczęsny obowiązek niezgadzenia się z szefem, gdyż Fortinbras nie tolerował otoczenia złożonego z samych potakiwaczy. Cole nienawidził tego obowiązku, bo zawsze czuł, że Fortinbras ma rację. Marzył o dniu, kiedy zostanie zatrudniony czwarty wicedyrektor i on wreszcie będzie mógł powiedzieć „tak”.

— Trzy przeciw jednemu — stwierdził Fortinbras, obrzydliwie śliniąc koniec cygara. — Cole, to by znaczyło, że zostałeś przegłosowany, no nie?

— Tak to wygląda. — Cole był zadowolony. — Czuję się zobowiązany do przedstawiania własnych opinii, ale zapewniam pana, że nie mam do nich zaufania.

— Lubię twoją szczerłość — pochwalił Fortinbras. — Uczciwy i logiczny osąd może doprowadzić człowieka daleko. W takim razie zastanówmy się. Powiedzmy, że nazwiemy to „Chwila Prawdy”.

Wszyscy wspaniale ukryli swoje przerażenie. Fortinbras kontynuował:

— To jedynie wstępny pomysł. Po prostu na razie tylko o tym mówimy, ale całą sprawę trzeba dobrze przemyśleć. Co byście powiedzieli o tytule „Chwila szczerości”?

— Bardzo mi się podoba! — natychmiast pochwalił Martin. — To naprawdę trafi do wszystkich!

— Dobrze, doskonale, tak, naprawdę bardzo dobre — powiedział Chet. Przymknął oczy i smakował okropność tytułu.

— Myślę, że jednak brakuje mu czegoś. — Gdy Cole wypowiadał swoją kwestię, serce zamierało mu ze strachu.

— A konkretnie czego? — zainteresował się Fortinbras.

Nigdy wcześniej nie żądano od Cole'a wyjaśnienia, dlaczego nie zgadza się ze zdaniem większości. Nagle poczuł paraliżujący ucisk w gardle i lodowate skurcze przechodzące falami przez żołądek. Były to, jak doskonale wiedział, nieomylnie symptomy towarzyszące wywalaniu z pracy.

Martin, którego dobre serce było tak powszechnie znane, że fama o nim dotarła aż do Dziesiątej Alei, wybawił go z kłopotu.

— Wydaje mi się, że Cole miał prawdopodobnie na myśli jeden z tych staromodnych, nadętych tytułów takich, jak na przykład po prostu „Dziesięć”.

— Albo być może wcale nie miał tego na myśli — szybko dodał Chet, osłaniając Martina.

— Tak, chyba miałem na myśli coś takiego, lub podobnego — Cole pospiesznie osłonił ich obu. — Ale oczywiście ten rodzaj dętych rzeczy jest dziś czymś na kształt papki...

Urwał w pół słowa, bo Fortinbras zagłębił się w medytację, na co wskazywał środkowy palec prawej ręki przyciśnięty do czoła, trzy centymetry ponad niewyraźnymi brwiami. Mijały sekundy. Fortinbras przymknął powieki, a potem znowu je otworzył.

— „Dziesięć” — szepnął.

— Staromodne — skomentował Martin. — Ale oczywiście łatwo się przyjmuje.

— „Dziesięć” — powtórzył Fortinbras, delektując się słowem tak, jakby to był lizak.

— To daje szereg możliwości — przyznał Chet. — Po pierwsze, oczywiście musimy zawsze pamiętać...

— DZIESIĘĆ — tryumfalnie ryknął Fortinbras — Tak, tak, DZIESIĘĆ! Panowie, to przemawia do mnie, naprawdę i w pełni przemawia Hm... — Zaciągnął się swym cuchnącym cygarem. — Czy zdarzyło się już, by kobieta została Zwycięzczynią Dziesięciu?

— O ile mi wiadomo, nigdy, a w każdym razie nie w Stanach Zjednoczonych — odpowiedział Martin.

— No, to właśnie na tym się skoncentrujemy — zdecydował Fortinbras. — Ale było kilka

kobiet, Zwycięzcyń Dziewięciu, prawda?

— Ostatnią, osiem lat temu, była panna Amelia Brandome. — Martin przeczytał o tym wszystkim zeszłej nocy, przewidując rozwój wypadków w dniu dzisiejszym. Właśnie ta umiejętność przewidywania doprowadziła go do stanowiska wicedyrektora do spraw produkcji.

— Co się z nią stało? — spytał Fortinbras.

— Nabrała zbytnej pewności siebie i Ofiara pokonała ją w dziesiątym Polowaniu. Użyła śrutówki nabitej siemieniem dla ptaków.

— Nie wydaje się to znowu tak bardzo śmiercionośne — zdziwił się Fortinbras.

— W tym przypadku było to wystarczająco śmiercionośne, gdyż strzał został oddany z odległości pięciu centymetrów.

— Caroline, wolelibyśmy, abyś nie stała się zbyt pewna siebie — zachichotał Fortinbras.

— Nie, proszę pana, ja też bym tego nie chciała.

— Gdyby się jednak tak zdarzyło, mogłabyś nagle zostać bez pracy — Fortinbras próbował nędznego dowcipu.

— Mogłabym zostać bez życia, co byłoby mniej przyjemne.

Wszyscy radowali się dowcipną odpowiedzią Caroline. Kiedy śmiech opadł do chichotu, Fortinbras wrócił do tematu.

— OK, dzieci, postanowione. Przygotujcie się do wyjazdu. Mamy wolne pół godziny czasu antenowego pojutrze od dziesiątej rano do dziesiątej trzydzieści. Zróbmy to wówczas na żywo, lub też może powinienem powiedzieć: na śmierć? W każdym razie, chłopaki, wiecie, o co nam chodzi: śmiertelnie poważnie, ale z wyczuciem. Nie zawracajcie sobie głowy żadnymi pobocznymi ujęciami. Po prostu filmujcie zabójstwo tak, by wywarło niezapomniane wrażenie, dynamicznie, ale zarazem z humorem i godnością. Martin, rozumiesz, o co mi chodzi, prawda?

— Myślę, że mogę to sobie wyobrazić, szefie — potwierdził Martin. Od trzech lat, to jest od kiedy został wicedyrektorem, musiał myśleć za Fortinbrasa. Jeszcze rok, a na pewno mógłby zająć jego fotel.

Jednak Fortinbras, chociaż głupi, nie był absolutnym głupcem. Miał zamiar wywalić Martina natychmiast po zakończeniu tej sprawy. Był to jego prywatny mały sekrecik, o którym nie mówił nikomu, nawet swojemu psychoanalitykowi.

Rozdział 5

Rzymskie Ministerstwo Polowań mieściło się w potężnym, nowoczesnym gmachu, zbudowanym w pseudoromańskim stylu z gotyckimi akcentami. Po szerokich stopniach z białego antycznego kamienia wbiegał teraz Marcello Polletti, wczorajszy pogromca barona von Richtoffena. Gdy tak pędził do drzwi, od balustrady odczepiały się różne ponure figury, ubrane całkiem na czarno, i podchodziły do niego.

— Szanowny panie, powinien pan mieć kieszonkowy wykrywacz metali.

— Nie działa na broń z plastiku — odparł Marcello.

— Jeśli o to chodzi, to ja mam też wykrywacz plastiku.

Marcello uśmiechnął się grzecznie i wzruszył ramionami nie zwalniając kroku.

— Bardzo pana przepraszam, ale pan wygląda na takiego, co potrafi korzystać z usług dobrego obserwatora — zagaił inny facet.

Marcello nic nie odpowiedział, tylko wchodził dalej.

— Panu naprawdę potrzebny jest obserwator — nalegał mężczyzna. — Bez dobrego obserwatora nie można zidentyfikować swojego Łowcy. Ja uzyskałem świadectwo kwalifikacyjne w Palermo i dyplom drugiego stopnia w Bolonii. Ponadto mam listy polecające od licznych wdzięcznych klientów.

Powiewał przed oczami Marcella plikiem postrzępionych papierów. Marcello wymruczał jakieś przeprosiny i szybko wyminął faceta. Doszedł wreszcie do wielkich, brązowych drzwi ministerstwa, a zrezygnowani, ubrani na czarno faceci wycofali się na swoje stanowiska wzdłuż poręczy schodów.

Marcello przechodził przez zatłoczone korytarze, obok zakurzonych wystaw broni używanej na Polowaniach, map świata pokazujących punkty, gdzie odbywało się ich najwięcej, mijał wycieczki turystów i działwy szkolnej, którym niechlujnie ogoleni przewodnicy w wytartych mundurach opowiadali historię Polowań. W końcu doszedł do właściwego pokoju.

Tam skierował się do biurka z tabliczką WYPŁATY. Za biurkiem siedział urzędnik specjalnie chyba dobrany do tej pracy, bo wyróżniał się sztywnym, bezlitosnym i bezkompromisowym zachowaniem oraz zgarbionymi ramionami, wychudłą szyją i okularami w metalowej oprawce.

— Przyszedłem odebrać moją nagrodę — oświadczył Marcello Polletti, wręczając urzędnikowi swoją kartę identyfikacyjną. — Może pan słyszał o tym, jak wczoraj załatwiłem barona von Richtoffena na pokazie koni. Piszą o tym wszystkie gazety.

— Nigdy nie czytuję gazet — stwierdził urzędnik — jak również nie słucham ani nie papłę na temat wyścigów rowerowych, piłki nożnej czy Polowań. Mówił pan, że jak się nazywa?

— Polletti — powiedział Marcello lekko speszony, i przeliterował nazwisko.

Urzędnik przeszedł do drugiego pokoju, gdzie znajdowały się akta wszystkich Łowców, Łowczyń i Ofiar z rejonu Rzymu. Wprawnymi palcami przerzucał dokumenty, aż w końcu wyciągnął kartę Marcella, jak kura łapiąca w dziób ziarno.

— Tak — powiedział, po starannym porównaniu fotografii Polletiego z teczki w archiwum z fotografią na karcie identyfikacyjnej. Potem porównał obie z oryginałem (lub rzekomym oryginałem) stojącym przed jego biurkiem.

— Czy wszystko w porządku? — upewnił się Marcello.

— Zupełnie w porządku — potwierdził urzędnik.

— W takim razie, czy mogę dostać moją nagrodę?

— Nie. Już została pobrana.

Polletti wyglądał przez chwilę jak człowiek ukąszony przez węża, ale szybko odzyskał panowanie nad sobą. — Kto ją pobrał?

— Pańska żona, pani Lidia Polletti. Ona jest pańską żoną, prawda?

— Moją byłą żoną — poprawił Marcello urzędnika.

— Jest pan rozwiedziony?

— Małżeństwo unieważniono. Dwa dni temu.

— Potrzeba tygodnia, czasami nawet dziesięciu dni, zanim dotrze tu informacja o zmianie stanu cywilnego. Pan oczywiście może złożyć skargę.

Radosny uśmiech urzędnika świadczył, jak niewielkie szansę ma Marcello na odzyskanie swoich pieniędzy.

— Nieważne — powiedział lekko Marcello, odwrócił się i wyszedł. Nie pokazuje się swoich uczuć urzędnikowi, ale pieniędzy potrzebuje się co najmniej tak samo jak ten urzędnik, a być może znacznie bardziej. Ta Lidia! W sprawach finansowych jest szybka jak rakietka.

* * *

Po wyjściu z budynku Marcello przeszedł na drugą stronę ulicy. Był raczej zdziwiony, gdy nagle podbiegła do niego piękna blondynka, zarzuciła mu ręce na szyję i gorąco ucałowała. Takie rzeczy mimo wszystko nie zdarzają się codziennie i jak zwykle, kiedy się już zdarzają, to w

niewłaściwym czasie. Marcello nie był w nastroju do flirtów.

Próbował się uwolnić, ale dziewczyna mocno do niego przylgnęła.

— Och, bardzo pana proszę — błagała — proszę, niech pan mnie przeprowadzi przez ulicę do wejścia do ministerstwa. Dalej dam sobie radę.

Wówczas Marcello zrozumiał, o co chodzi. Delikatnie zdjął jej rękę ze swojego karku i cofnął się o krok.

— Niestety, nie mogę pani pomóc. To jest niezgodne z prawem. Widzi pani, ja też jestem Łowcą,

Piękna blondynka (mogła mieć dziewiętnaście, może dwadzieścia a na pewno nie więcej niż dwadzieścia osiem lat) patrzyła, jak Marcello odchodzi i nagle zorientowała się, że znajduje się sama na środku szerokiej i słonecznej ulicy, wystawiona bezlitośnie na strzał. Ruszyła biegiem do ministerstwa.

W tej właśnie chwili z bocznej ulicy wyskoczył maserati (ten konkretny model nosił popularną nazwę Ofiarobójcy) i pędził wprost na nią. Dziewczyna uchyliła się jak matador uskakujący przed bykiem. Ale ten byk miał hamulce tarczowe, które, gwałtownie naciśnięte, zatrzymały samochód w półobrocie wokół dziewczyny. Twarz dziewczyny stwardniała. Ze swojej torby zawieszanej na ramieniu wyszarpnęła wielki pistolet maszynowy, odbezpieczyła, odciągnęła zamek i nacisnęła spust

I wówczas stało się niestety zupełnie oczywiste, że zapomniała załadować pociski przeciwpancerne. Jej kule odbijały się bez szkody od nieskazitelnie błyszczącej powierzchni maserati. W tym czasie kierowca wychylił się z drugiej strony swojego wozu i zastrzelił ją z antycznego stena.

Po zakończeniu całej akcji policjant wyszedł zza osłony drzwi wejściowych ministerstwa. Uprzejmie zasalutował i sprawdził karty Ofiary i Łowcy. Tę drugą przedziurkował.

— Gratuluję — powiedział oficjalnie. — Muszę jednak pana ukarać — i wręczył kierowcy mandat

— A to za co?

— Mandat za przekroczenie przepisów ruchu drogowego. — Wskazał na maserati ustawione w poprzek ulicy i blokujące ruch.

— Ależ, drogi panie, nie byłbym w stanie wykonać zabójstwa bez tego nagłego zatrzymania.

— Zupełnie możliwe, ale przepisy ruchu obowiązują jednakowo wszystkich, nie wyłączając Łowców.

— Śmieszne — skomentował kierowca.

— Ta młoda dama także popełniła wykroczenie, przechodziła przez jezdnię w miejscu niedozwolonym. Ale w jej przypadku nie będę wystawiał mandatu, gdyż aktualnie jest ona martwa.

— A co by było, gdyby to ona zastrzeliła mnie?

— W tej sytuacji ją ukarałbym mandatem, a panu darował wykroczenie.

Polletti odszedł. Kłótnie w drobnych sprawach męczyły go prawie tak samo, jak kłótnie w sprawach zasadniczych.

* * *

Nie doszedł jeszcze do następnej przecznicy, kiedy ze zgrzytem hamulców tuż za jego plecami zahamował krwawoczerwony sportowy kabriolet. Polletti instynktownie uchylił się i rozejrzał w poszukiwaniu schronienia. Niestety, gdy kryjówka jest potrzebna to oczywiście nie ma żadnej w zasięgu wzroku. Dopiero po chwili zorientował się, że osoba za kierownicą to tylko Olga.

Olga była szczupłą, ciemnowłosą, elegancką młodą kobietą, wytworną dzięki trochę teatralnemu stylowi ubierania się. Oczy miała duże, czarne i bardzo błyszczące, zupełnie jak oczy wilka oświetlone reflektorami samochodu. Była bardzo atrakcyjna, jeśli się ceni schizofreniczno-paranoidalny typ urody z kocimi akcentami.

Mężczyźni lubią igrać z niebezpieczeństwem, ale nie codziennie. Polletti igrał z Olgą już od dwunastu lat.

— Widziałam — ponuro powiedziała Olga. (Zawsze mówiła ponuro, z wyjątkiem sytuacji, kiedy mówiła histerycznie).

— Widziałaś? A co takiego widziałaś?

— Wszystko.

— Jeśli rzeczywiście widziałaś wszystko, to z całą pewnością zorientowałaś się, że nie było nic do zobaczenia. — Polletti próbował się uśmiechnąć.

Pochylił się, by położyć rękę na ramieniu Olgi, ale ona wrzuciła wsteczny bieg i cofnęła samochód o kilka metrów. Polletti opuścił rękę i podszedł do niej.

— Moja droga, jeśli widziałaś to wszystko, to na pewno zdajesz sobie sprawę, że między mną a tą nieszczęsną dziewczyną nic się nie zdarzyło — zaczął od początku.

— Oczywiście, że nie. Nie teraz.

— Ani teraz, ani kiedykolwiek indziej — zapewnił Polletti. — Olgo, musisz mi wierzyć, że nigdy przedtem jej nie widziałem.

— Masz szminkę na ustach — stwierdziła Olga ponuro, ale z lekką nutką hysterii.

Polletti pospiesznie wytarł usta wierzchnią stroną dłoni.

— Kochanie, mogę cię zapewnić, że między mną a tym nieszczęśliwym dzieckiem...

— Zawsze lubiłeś młode, prawda?

— ...nic nie było, absolutnie nigdy nic nie było, zupełnie, całkowicie nic.

— Nic, oprócz marzeń, co, Marcello?

Patrzyli na siebie przez kilka sekund. Olga bez wątpienia czekała na kolejne usprawiedliwienia, które mogłaby tryumfalnie odrzucić, ale Polletti milczał. Wyraz jego twarzy zmienił się. Rytualny męski uśmiech błagający o wybaczenie zniknął, ustępując miejsca objawom zwykłego znudzenia. Jest się coś winnym kobiecie, z którą się żyje od dwunastu lat, niewątpliwie jest jej się coś winnym, ale nie to.

Bez słowa odszedł od samochodu i zaczął rozglądać się za taksówką. Olga wrzuciła bieg i ostro ruszyła do przodu, hamując zaledwie parę centymetrów przed nim.

Polletti bez słowa usiadł obok niej.

— Marcello, jesteś kłamcą i oszustem.

Kiwnął potakująco głową, zamknął oczy i odchylił głowę na oparcie siedzenia.

— Gdybym nie kochała cię tak bardzo, chyba bym cię zabiła.

— Możesz to zrobić teraz.

— Może tak, ale najpierw musisz mnie zobaczyć w nowej sukni. — Zaśmiała się i oparła o jego ramię. — Naprawdę myślę, że będę ci się w niej podobała.

— Jestem pewien, że tak będzie — odparł Polletti nie otwierając oczu.

— Czemu mężczyźni są takimi świniami? — rzuciła Olga. Ody nie otrzymała żadnej odpowiedzi, uruchomiła samochód i popędziła jak huragan ścigany przez tornado. Polletti nie otwierał oczu. Pograżył się w fantazjach nie mających żadnego związku z rzeczywistością.

Rozdział 6

Wielki odrzutowiec pasażerski zataczał kręgi nad Rzymem, otrzymaniu zezwolenia zszedł do

lądowania na lotnisko Fiumicino. Jedne klapy opuściły się, inne podniosły, i wreszcie koła samolotu dotknęły pasa startowego. Ciąg silnika został odwrócony, a z ogona wypadł mały spadochronik, który zaraz wyciągnął duży spadochron. Włączono hamulce, w kabinie pilotów odmówiono coś w rodzaju modlitwy, i w końcu ogromny statek powietrzny dokołował na miejsce postoju.

Otwarto drzwi i z samolotu zaczęły wychodzić różne grupki ludzi. Jedna z nich składała się z trzech niemal identycznie wyglądających mężczyzn i uderzająco pięknej kobiety. Specjalna hostessa zaprowadziła tę czwórkę do stojącego obok helikoptera, a resztę pasażerów odwieziono autobusami do budynków lotniska.

Nasza czwórka wsiadła, helikopter wystartował i po chwili już był wysoko nad Rzymem. Caroline zajęta honorowe miejsce obok pilota. Martin, Chet i Cole siedzieli stłoczeni na tylnym siedzeniu. Martin na czas tej akcji został awansowany na stanowisko kierownika produkcji i kierownika produkcji w terenie. Teraz sprawdzał swoje notatki. Chet siedział obok i był bardzo zajęty zagryzaniem warg, zdradzającym zamyślenie. Cole, jako najmłodszy, nie miał już nic do roboty poza sprawianiem wrażenia człowieka zdecydowanego i energicznego.

Martin oderwał wzrok od notatnika i spojrzał w dół przez podłogę z pleksiglasu.

— Hej, czy to jest bazylika Świętego Piotra?

— Tak — potwierdził Chet.

— Jak sądzisz? Wynajęliby nam ją na dzień czy dwa? Byłby to doskonały kontrast, jeśli zabójstwo dokonałoby się tutaj.

— Mogłabym się ubrać jak zakonnica — z rozmarzeniem powiedziała Caroline.

— Bazylika nie wchodzi w rachubę. — Jako zastępca Martina, czyli zastępca kierownika produkcji i zastępca kierownika produkcji w terenie, a więc drugi po Bogu, Chet wykonał już wstępne rozeznanie.

— Nie mam na myśli samego kościoła — uściślił Martin. — Wystarczy nam jakiś skwerek, ewentualnie z kilkoma ujęciami bazyliki.

— Nie dadzą nam na to pozwolenia.

— Czemu po prostu nie zastrzelimy go w studiu? — spytał Cole.

Obaj starsi rangą koledzy spojrzeli na niego z niesmakiem.

— Co za pomysł! To ma być dokument, pamiętasz? Najprawdziwsza prawda — twardo wyjaśnił Martin.

— Przepraszam. Hej, a co to jest?

— Fontanna di Trevi. Ładna rzecz — poinformował Chet.

— Faktycznie ładna — przyznał Martin i zwrócił się do Caroline: — Dziecino, a co ty o tym myślisz? Zabiłabyś go tutaj. My zrobilibyśmy zbliżenie na ciało Polletiego pływające w fontannie, a następnie większy plan, aby pokazać ciebie z tryumfalnym uśmiechem, chociaż z domieszką smutku, rzucającą na niego kilka monet. Potem dopuścilibyśmy głośny hałas ulicy, ty odchodząca powoli w dal brukowaną ulicą, wszystko zakończone ściemnieniem.

— Nie sędzę, aby jakiegokolwiek ulice w okolicy Fontanny di Trevi pozostały do dzisiaj brukowane — zwrócił uwagę Chet.

— No to sami wybrukujemy którąś jezdnię — zniecierpliwiał się Martin. — Jeśli nie będzie im się podobała, to po zdjęciach zlikwidujemy bruk.

— Wszystko pięknie zagra — entuzjazmował się Chet. — Naprawdę zagra.

— To ma klasę — stwierdził Cole.

Wszyscy obrócili się do Caroline, ale ona krótko stwierdziła: „nie”.

— Zobacz, Caroline... — zaczął Martin.

— Sam zobacz. Chodzi o moje zabójstwo, moje dziesiąte zabójstwo, i chcę, żeby stało się czymś wielkim. Czy wy rozumiecie, co znaczy? To ma być naprawdę wielkie!

— Wielkie — powtórzył Martin. Chet zagryzał wargi w zamyśleniu. Cole wyglądał zdecydowanie i energicznie.

— Właśnie tak, wielkie — upierała się Caroline. W jej głosie zabrzmiała stalowa nuta, której nigdy wcześniej żaden z nich nie słyszał. Martin uznał jej pewność siebie za coś przerażającego. Nie podobało mu się to. Dokonał takich kilku zabójstw i już jej się zdaje, że wszystko potrafi.

— Nie ma czasu na coś wielkiego — wyjaśniał łagodnie. — Powinniśmy mieć te ujęcia jutro rano.

— To wasza sprawa — odrzekła Caroline.

Martin włożył palce pod okulary i potarł oczy. Praca z kobietami jest wystarczająco ciężka, praca z zabójczynią jest wyraźnie nieopłacalna.

— Mam pewien pomysł dotyczący lokalizacji — odezwał się spokojnie Chet. Chciał załagodzić sytuację. — Co byście powiedzieli na Koloseum? Jest właśnie pod nami.

Helikopter zwolnił lot i wszyscy zaczęli się przyglądać masywnemu, w połowie zrujnowanemu owalnemu amfiteatrowi.

— Nie wiedziałem, że jest takie ogromne. — Cole był zaskoczony.

— Podoba mi się — uznała Caroline.

— Oczywiście, jest niezłe — przyznał Martin. — Ale patrz, kochanie, przygotowanie miejsca takiego jak to, zajmie sporo czasu, którego nie mamy. Może byś się jednak zdecydowała na Fontannę di Trevi albo na Ogrody Borghese?

— Zabójstwa dokonam tutaj — zdecydowanie oświadczyła Caroline.

— Ale przygotowania...

— Słuchaj, Martin — Chet wpadł mu w słowo. — Przypuszczałem, że możesz się zainteresować tym miejscem, więc pozwoliłem sobie na zrobienie wstępnego rozeznania, wiesz, tak na wszelki wypadek.

— Zrobiłeś rozeznanie?

— Tak. Na ten pomysł wpadłem zeszłej nocy. Oczywiście nie chciałem nic robić za twoimi plecami, ale również nie chciałem budzić cię i zawracać głowy pomysłami, szczególnie takimi kombinacjami, od których aż włosy jeżą się na głowie. Zadzwoiłem więc do Rzymu i dokonałem wstępnych uzgodnień, ale zapewniam cię, że nie miałem zamiaru nic robić za twoimi plecami, ani nic podobnego...

— Nie martw się — Martin serdecznie klepnął go po plecach. — Wykonałeś dobrą robotę.

— Naprawdę? — upewniał się Chet.

— Tak. Caroline jest zadowolona, my wszyscy też jesteśmy zadowoleni, więc zabierajmy się do pracy. Musimy rozstawić kamery i zdecydować się, w jaki sposób wprowadzić tu Roy Bell Dancers i mnóstwo innych rzeczy.

— Zabiję w Koloseum! To tak jakby się ziściły jakieś dzikie dziecięce sny. — Caroline była uśmiechnięta i uszczęśliwiona.

— Tak, masz rację — potwierdził Martin. — Ale teraz musimy działać szybko, dopracować wszystkie szczegóły, zlokalizować tego Pollettiego i ściągnąć go tu we właściwym czasie...

— Ja się tym zajmę — zaproponowała Caroline.

— Doskonałe — zgodził się Martin. — My wszyscy będziemy mieć ręce pełne roboty. Panie pilocie, wracamy.

Helikopter skręcił w kierunku Via Veneto. Pasażerowie odchyłili się wygodnie na oparcia, uśmiechnięci i odprężeni. Martin rozmyślał o tym, że najwyższy czas wykopać Cheta, zanim on zdąży wykopać jego. Ta sprawa Koloseum wskazuje, że Chet jest troszeczkę zbyt bystry.

Rozdział 7

Polletti szedł w ciemności, w zupełnej i całkowitej ciemności. To już było wystarczająco złe. Ale jeszcze gorsza niż ciemność była absolutna i nienormalna cisza. Grobowa cisza. Grobowa — doprawdy właściwe określenie dla człowieka w jego sytuacji. Czuł się opuszczony w obliczu nadchodzącej śmierci. Był zarazem przerażony, zdenerwowany i zmęczony. Żuł gumę, zagryzał wargi, pozwalał sobie na te objawy lęku tylko dlatego, że nikt nie mógł ich zobaczyć, chyba żeby wniknął w jego najintymniejsze wnętrza. Ręce trzymał opuszczone swobodnie, ale gotowe do akcji, w odległości paru centymetrów od ciała. Szedł ostrożnie, z wytężoną uwagą, wyczulony na najdrobniejsze nawet sygnały zagrożenia.

Nagle wyczuł jakiś ruch z tyłu, po lewej stronie. Wróg podchodził od siódmej godziny, możliwie najgorszej strony dla praworęcznego człowieka.

Polletti gwałtownie obrócił się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, i padł na ziemię, w bok od przewidywanej linii strzału. To był Obronny Manewr nr Trzy, Część Pierwsza. W tym samym czasie jego prawa ręka trafiła na wewnętrzną kieszeń marynarki. Automatyczna kabura natychmiast podała mu pistolet Teraz mógł już zobaczyć wroga. Był to masywny, ponury mężczyzna, z lugerem w wyciągniętej ręce. Ale Polletti leżał już na brzuchu, przodem do napastnika i strzelał, co stanowiło zakończenie Części Drugiej Obronnego Manewru nr Jeden. Uwiął się z całą sekwencją w niewiarygodnie krótkim czasie. Odczuwał podniecenie i radość z dobrze wykonanej roboty...

Fantom rozplynął się, u sufitu zapłonęły światła. Polletti leżał na brzuchu na zakurzonej podłodze sali treningowej. Dwa kroki przed nim przy pulpicie sterowniczym siedział starszy mężczyzna ubrany w poplamiony szary dres. Miał cierpki wyraz twarzy i potrząsał ze znużeniem głową.

— No jak? — spytał Polletti, wstając i otrzepując się z kurzu. — Jak to wyszło? Tym razem wreszcie go załatwiłem, prawda?

— Twój czas reakcji był o około jedną dziesiątą sekundy zbyt długi.

— Poświęcam nieco czasu reakcji na korzyść precyzji i dokładności.

— Doprawdy? — mruknął z przekąsem trener.

— Tak, profesorze. Wolę wykorzystać moje naturalne predyspozycje.

— Niewiele ci pomogły. Chybiłeś o trzy i dwie dziesiąte centymetra — poinformował profesor Silvestre.

— Bardzo blisko, prawie w celu.

— Ale nie tak blisko, jak powinno.

— A co z moim Obronnym Manewrem nr Trzy? Sądzę, że wykonałem go nieźle.

— Rzeczywiście pięknie. Można było przewidzieć każdy twój ruch, a to prowadzi prosto do śmierci. Krowa ruszałaby się szybciej. Fantom zabił cię po raz pierwszy już wtedy, gdy przekreślałeś się na ziemi i drugi raz, kiedy przyjmowałeś na brzuchu pozycję do strzału. Marcello, gdyby to był prawdziwy Łowca a nie trójwymiarowa projekcja, byłbyś martwy już dwukrotnie.

— Nie wierzę.

— Więc obejrzyj film.

— No tak, ale w rzeczywistości nie jest tak jak tu, na treningu.

— Oczywiście, nie jest. — Głos profesora był zjadliwy, a nawet nabrał wyraźnie ironicznej nuty. — W prawdziwych sytuacjach człowiek jest raczej wolniejszy. Pamiętasz ile razy strzelił fantom?

— Dwa — uczciwie przyznał Polletti.

— Pięć razy — poprawił go profesor.

— Jest pan całkowicie pewien?

— Popatrz na film. Sam to wszystko przygotowałem.

— To było echo — gorzko stwierdził Polletti. — W pomieszczeniu takim, jak to, trudno odróżnić echo od samego strzału.

Profesor Silvestre uniósł prawą brew tak wysoko, że dotknęłaby włosów, gdyby miał jakieś włosy. Potarł nie ogoloną brodę i wstał. Był brzydkim, karłowatym mężczyzną, i nawet jego najlepszy przyjaciel (jeśli miałby choć jednego), nie mógłby go uznać za prawdziwą istotę ludzką. Wielu instruktorów Polowań nosiło na swoim ciele ślady po treningach, ale Silvestre nosił ich bez wątpienia najwięcej. Jego prawa ręka była zrobiona ze stali nierdzewnej, lewy policzek z plastiku, czaszkę załatano mu srebrną płytką, podbródek zastąpiono protezą z duraluminium, a rzepka w kolanie była z czternastokaratowego złota. Mówiło się powszechnie, że niektóre mniej widoczne części ciała też ma sztuczne.

Psychologowie wiedzą od dawna, że ludzie, którzy mają liczne części ciała zniszczone przez pociski, wykazują tendencję do cynizmu. Silvestre nie był wyjątkiem od tej reguły.

— W każdym razie czuję, że się poprawiłem. A pan, profesorze, co pan o tym sądzi?

Silvestre chciał unieść prawą brew, ale stwierdził, że już jest podniesiona tak wysoko, jak to tylko możliwe. Opuścił ją więc i zamknął lewe oko. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale się wstrzymał, zachowując opinię dla siebie.

— Chodź — powiedział krótko. — Przejdziemy do następnego sprawdzianu.

Wcisnął przycisk na pulpicie. Z zagłębienia w ścianie wysunął się miniaturowy bar. Odbyło się to z taką energią, że kilka kieliszków do szampana wyleciało w powietrze. Polletti mrugnął, kiedy rozbiły się o ziemię.

— Mówiłem mechanikowi, żeby to poprawił. W dzisiejszych czasach nie można już znaleźć dobrych rzemieślników. Chodź, Polletti, zrobimy ten sprawdzian.

Profesor zręcznie wymieszał drinka z kilku nieoznaczonych butelek i wręczył go swojemu uczniowi. Polletti wąchał go z uwagą, aż w końcu ustalił składniki.

— Gin i angostura z niewielką domieszką tabasco.

Silvestre bez słowa wymieszał następnego drinka.

— Wódka, cytryna i mleko oraz parę kropel dragankowego octu winnego.

— Jesteś pewien?

— Całkowicie.

— No to wypij trochę.

Polletti uniósł kieliszek, spojrzał na swojego mentora, powąchał, skrzywił się i odstawił kieliszek na ladę.

— Myślę, że lepiej jednak tego nie pić.

— I słusznie. To nie ocet winny wywąchałeś, tu jest potężna porcja arszeniku.

Polletti uśmiechnął się z zawstydzeniem i zorientował się, że szura nogami zupełnie jak dzieciak. Przestał szurać i powiedział:

— Jakoś marnie się dziś czuję. Nie może się pan spodziewać...

Jedno spojrzenie profesora wystarczyło, żeby zamilkł. Silvestre wcisnął przycisk na pulpicie. Ze ściany z mocnym szarpnięciem wysunęła się kanapa. Obaj na niej usiedli.

Po krótkiej, ale ciężkiej chwili milczenia, Silvestre podjął wątek.

— Marcello, do tej pory miałeś bardzo wygodne życie.

— Ależ tak żyją wszyscy mężczyźni! — szybko wtrącił Polletti. — Chciałem powiedzieć, że kiedy się zastanowić nad niezgłębioną naturą samego życia...

Jednak profesora nie tak łatwo można było zbić z tropu. Niewzruszony kontynuował:

— Za pierwszym razem miałeś szczęście, że cię wylosowano jako Łowcę, poza tym polowałeś

na niezbyt rozgarniętego Anglika.

— On nie był nierozgarnięty. Raczej miał zwyczaj chadzać utartymi ścieżkami.

— To był przeciwnik łatwy do pokonania, każdy Łowca marzy o takim. Potem zostałeś Ofiarą, ale twoim Łowcą był dziewiętnastolatek cierpiący z powodu zawodu miłosnego. Tak więc i przy tym zabójstwie korzystałeś ze sporego ułatwienia. Podejrzewam nawet, że biedny chłopak wykorzystał Polowanie do popełnienia samobójstwa bez utraty twarzy.

— Chyba nie. On po prostu był trochę nieuważny.

— Ostatnio byłeś Łowcą i przypadł ci ten dziwaczny niemiecki baron, który nie potrafił myśleć o niczym innym poza końmi.

— To rzeczywiście nie było specjalnie trudne — przyznał Polletti.

— Twoje wszystkie Polowania były bardzo łatwe! — krzyknął Silvestre. — Ale jak długo może ci sprzyjać takie szczęście? Nie zastanowiłeś się nigdy nad statystycznym prawem uśredniania? W końcu trafisz na w pełni kompetentnego przeciwnika! Jak długo będzie trwała twoja dobra passa? Czy naprawdę wierzysz, że przejdiesz przez to nie wykazując się sprytem, szybkością myślenia, intuicją, i bez intensywnego treningu?

— Profesorze, posłuchaj. Naprawdę nie wydaje mi się, bym był aż tak beznadziejny. W obecnym Polowaniu gram rolę Ofiary już od dwudziestu czterech godzin i, jak do tej pory, nic się nie zdarzyło.

— Najprawdopodobniej cały czas jesteś obserwowany. Twój Łowca z pewnością przygląda ci się, ustala schemat twoich poruszeń, i czeka na najbardziej dogodny moment do oddania strzału. A ty nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy.

— Nie wydaje mi się to takie bardzo prawdopodobne. — Polletti powiedział to spokojnie i z godnością.

— Takiś pewny? Zobaczmy, jak dajesz sobie radę z identyfikacją.

Silvestre wcisnął przycisk na pulpicie sterowniczym. W sali zrobiło się ciemno. Wcisnął inny przycisk. Na przeciwległej ścianie pojawiło się pięć postaci naturalnej wielkości. Cztery z nich w tym ćwiczeniu miały być nieszkodliwe; Łowcy, którzy zapożyczyli sporo pojęć z legendarnej drugiej wojny światowej, nazywali je „aniołami”. Piąta postać była zabójcą. Zadanie Pollettiego polegało na zidentyfikowaniu go. Polletti z uwagą przyglądał się postaciom. Był tam policjant, stewardessa Swissairu, jezuita, portier hotelowy i Arab. Podeszli spokojnym krokiem do kanapy i zniknęli. Silvestre włączył światła.

— No, który był Łowcą?

— Czy mógłbym ich jeszcze raz zobaczyć?

— I tak dałem ci dodatkową sekundę.

Marcello potarł brodę, przeciągnął ręką po włosach i zdecydował się.

— Ten Arab nie wyglądał zupełnie normalnie...

— Błąd. — Silvestre wcisnął przycisk i jezuita pojawił się sam, trochę przeźroczysty, gdyż sala była oświetlona, ale w pełni widoczny.

— Przyjrzyj się. Jezuita jest wyraźnie fałszywy. „J” jego zakonu znajduje się zarówno z prawej jak i z lewej strony klatki piersiowej. To oczywista wskazówka!

— Nigdy nie zwracałem większej uwagi na jezuitów. — Polletti wstał pobrzękując monetami w kieszeni.

— W Rzymie aż się od nich roi.

— Właśnie dlatego ich nie zauważam.

— Ale właśnie dlatego musisz ich zauważać! — krzyknął Silvestre. — Jakaś drobna różnica w wyglądzie czy zachowaniu może być kluczem do zagadki. Kiedy brałem udział w Polowaniach, bardzo zwracałem uwagę na takie szczegóły. Nigdy nic nie umknęło mojej uwadze.

— Nic z wyjątkiem tego wybuchowego banana.

— To fakt — przyznał Silvestre. — Ten Nigeryjczyk odkrył moją słabość do owoców tropikalnych.

— I, o ile się nie mylę, było również kilka innych niepowodzeń — przypomniał mu Polletti.

— Jestem tego w pełni świadomy — potwierdził z godnością Silvestre. — Nigdy nie miałem szczęścia, ale teraz próbuję innych nauczyć unikania moich własnych błędów, Mam szereg wyraźnych sukcesów, ale niestety nie sądzę, abym mógł ciebie zaliczyć do grona zwycięzców, którym pomogłem w nauce.

— Może nie — obojętnie przyznał Polletti.

— Przeszedłeś cały mój kurs, a ponadto masz naturalne zdolności. Ale jest coś w tobie, jakieś lekceważenie leżące u podstaw twojej osobowości, coś, co czyni cię niezdolnym do oddania się sercem i duszą najwspanialszemu ludzkiemu zajęciu, jakim jest morderstwo!

— Myślę, że to prawda. Ja po prostu nie lubię poświęcać się zbyt długo jednej sprawie.

— Obawiam się, że to poważna wada — powiedział ze smutkiem profesor Silvestre. — Mój chłopcze, co z tobą będzie?

— Pewnie ktoś mnie zabije.

— Być może — zgodził się Silvestre. — Ale dużo ważniejsze jest, jak będziesz umierał. Czy umrzesz w chwale, jak kamikadze, czy marnie, jak zając zapędzony w pułapkę.

— Nie sądzę, aby to miało jakieś specjalne znaczenie.

— Ależ właśnie na tym polega cała różnica — wzburzył się Silvestre. — Jeśli nie potrafisz pięknie zabijać, to przynajmniej umrzyj ładnie. Inaczej przyniesiesz hańbę swojej rodzinie, przyjaciołom i Szkole Taktyk Ofiary profesora Silvestre. Pamiętaj, naszym hasłem jest: umieraj tak pięknie, jak zabijasz.

— Spróbuję o tym pamiętać. — Polletti wstał.

— Mój chłopcze, mój chłopcze — Silvestre położył swoją stalową dłoń na ramieniu Pollettiego. — Ta obojętność jest tylko maską dla masochizmu ukrytego w głębi twojej duszy. Musisz próbować walczyć nie tylko ze śmiertelnie niebezpiecznym Łowcą na zewnątrz, lecz także z jeszcze bardziej niebezpiecznym antagonistą ukrytym wewnątrz twojego umysłu.

— Postaram się. — Polletti próbował stłumić ziewnięcie. — Ale teraz muszę już iść. Jestem umówiony.

— Tak, oczywiście. Tyle że została jeszcze drobna sprawa. Chodzi o moją należność. Najchętniej załatwiłbym to od razu. Łącznie z dniem dzisiejszym wynosi trzysta tysięcy lirów. Gdybyś mógł...

— Nie mogę w tym momencie — do świadomości Pollettiego dotarł fakt, że stalowa ręka profesora spoczywa zaledwie trzy centymetry od jego arterii szyjnej — ale jutro rano, natychmiast po otwarciu banku będę miał dla pana pieniądze.

— Możesz po prostu wypisać mi czek.

— Niestety, nie mam przy sobie czeków.

— Ja, na szczęście, mam blankiety.

— Bardzo mi przykro, nie mogę wypisać czeku, gdyż moje fundusze znajdują się w skrytce bankowej.

Silvestre spojrzał ostro na swego niepoprawnego ucznia, potem wzruszył ramionami i zdjął stalowe palce z karku Pollettiego.

— No dobrze, jutro. Słowo honoru?

— Słowo.

— Uściśnijmy sobie ręce na znak zawarcia umowy. — Profesor wyciągnął stalową dłoń.

— Wolałbym nie.

Silvestre uśmiechnął się i wyciągnął lewą, normalną rękę. Polletti uściśnął ją serdecznie. Silvestre gwałtownie wyszarpnął rękę z powrotem i spojrzał na nią. Na środku była kropla krwi.

— Widzi pan? — Marcello pokazał małą igłę, przylepioną do wnętrza dłoni. — Jak pan mówił, nietypowy szczegół w miejscu nie budzącym najmniejszych podejrzeń. Jeśli bym ją powlókł kurarą...

Wesoło chichocząc pomaszerował do drzwi.

Silvestre usiadł i ssął skaleczoną rękę. Był zmartwiony. Mimo tego żarciku, Marcello Polletti z całą pewnością zdążył prosto w kierunku cementarza. Ale przecież, mówił sobie; tacy są wszyscy mężczyźni. Natomiast on, profesor Silvestre, chyba zdąży w kierunku złomowiska.

Rozdział 8

W sali balowej „Borgia” hotelu Hilton w Rzymie, Caroline ćwiczyła z Roy Bell Dancers taniec, który wykona zaraz po zabójstwie. Panowała tu kompletna cisza przerywana jedynie sporadycznymi okrzykami w rodzaju:

— Mówiłem ci: różowe światło punktowe, bezmyślny, niekompetentny kretynie, a ty dajesz białe rozproszone!

Martin, Chet i Cole siedzieli w pierwszym rzędzie niewielkiego teatru utworzonego pośpiesznie dla ich potrzeb. Z głębokim namysłem zagryzali usta. Widzieli wyraźnie, że Caroline to jednak nie Pawłowa. Ale Caroline nie musiała być Pawłową. Brak zdolności tanecznych (wyraźny brak), wyrównywała naturalnym kobiecym magnetyzmem (wyraźnie ponadprzeciętnym). Roy Bell Dancers z talentem przedstawiali różne aspekty kobiecości, ale Caroline nie musiała niczego przedstawiać, gdyż po prostu stanowiła kwintesencję swojej płci. Chwilami widzieli w niej wampira, a chwilami Walkirię. To szczupłe, giętkie ciało zdawało się niezdolne do wykonania jakiegokolwiek niezręcznego ruchu, a długie blond włosy spływały na ramiona jak jasna flaga sygnałowa zwiastująca zarówno rozkosz, jak i niebezpieczeństwo.

— Tancerka z niej marna, ale stanowi kwintesencję swojej płci — rzucił Martin ciągle przygryzając górną wargę.

— To zadziwiające. Chwilami widzi się w niej wampira, a chwilami jest Walkirią — wyraził swoją opinię Chet.

— No właśnie. A czy zauważyliście, że szczupłe, giętkie ciało Caroline zdaje się niezdolne do wykonania jakiegokolwiek niezręcznego ruchu, a jej długie blond włosy spływają na ramiona jak

jasna flaga sygnałowa zwiastująca zarówno rozkosz, jak i niebezpieczeństwo? — Cole zdjął palce z górnej wargi, którą do tej pory skubał.

— Zamknijcie się. — Martin był wściekły. Miał już powiedzieć to samo, a nie cierpiał, gdy ktoś go uprzedzał, i to na dodatek słowami wyjętymi z jego własnych ust. Uznał, że Cole'a należy wyrzucić razem z Chetem. Martin nienawidził cwanych facetów.

Taniec dobiegł końca. Caroline, lekko zdyszana, ale nadal cudowna, zeszła ze sceny i opadła na krzesło obok Martina.

— No więc, jak było?

Wszyscy trzej prześcigali się w pochwałach, ale najdonośniejsze i najbardziej zdecydowane pochodziły od Martina, z tytułu jego starszeństwa.

— Czy w Koloseum wszystko już jest przygotowane na jutro rano? — spytała.

— Tak — odparł Martin. — Światła, podwyższenia, zdalnie sterowane mikrofony, pięć głównych kamer i dwie zapasowe. Mamy nawet specjalny kierunkowy bardzo czuły mikrofon, żeby zarejestrować śmiertelne rżenie Ofiary.

— Doskonale. — Caroline dumiała przez chwilę, a potem jej zmienna twarz, raz wampira, raz Walkirii, przekształciła się w twarz Diany, nieubłaganej Łowczyni. — Chciałabym teraz zobaczyć fotografie tego Polletiego.

Martin wręczył jej plik lśniących zdjęć, wykonanych dziś rano, a następnie, dzięki perswazji wywieranej przez pieniądze, od razu wywołanych i powiększonych.

Caroline starannie obejrzała zdjęcia.

— Ile ten facet ma lat?

— Około czterdziestki — odparł Martin.

— A pod jakim znakiem się urodził?

— Bliźnięta — szybko poinformował Chet.

— Nie dotrzymuje słowa — oświadczyła Caroline. — Świadczą o tym zmarszczki wokół oczu.

— Może zmrużył oczy, kiedy nasz człowiek robił zdjęcie — powiedział nieśmiało Cole.

— Zmarszczki są zmarszczkami — stwierdziła Caroline. — Ale podobają mi się jego ręce. Widzicie? Ma płaskie palce, z wyjątkiem czwartego palca lewej ręki.

— Masz rację, nawet tego nie zauważyłem — przyznał Martin.

— Ale jego frenologicznego opisu to chyba nie macie?

— Ee, panno Caroline, po prostu nie było na to czasu — usprawiedliwiał się Cole.

— Czy jego wypukłości na głowie są aż takie ważne? Jedyne, co masz zrobić, to zabić faceta — zdziwił się Martin.

— Wolę coś wiedzieć o ludziach, których zabijam. Wydaje mi się, że tak jest uprzejmiej.

Martin potrząsnął głową z niesmakiem. Kobiety takie już są. Zawsze wprowadzają element osobisty. Postanowił wywalić Caroline natychmiast, jak tylko zajmie miejsce Fortinbrasa. Ale po chwili z pewną dozą przerażenia zorientował się, że po swoim dziesiątym zabójstwie to Caroline znajdzie się na pozycji, z której będzie mogła bez trudu wywalić jego.

— Rozumiem cię. — Martin pospiesznie przekształcił niesmak wobec niej w gniew na siebie. — Znacznie przyjemniej jest wiedzieć. Gdyby była jakakolwiek możliwość uzyskania frenologicznego opisu Pollettiego, to Chet z całą pewnością jakoś by go uzyskał.

Caroline już miała coś powiedzieć, prawdopodobnie zresztą coś zgryźliwego, sądząc z kształtu jej ust, ale przerwał jej cichy głos dochodzący z niewielkiego monitora ustawionego u stóp Cheta.

— Halo, halo, tu ruchoma kamera numer trzy, przesuwam się w kierunku południowo-wschodnim wzdłuż Via Giulia. Centralny Punkt Dowodzenia, czy mnie słyszycie?

— Tak, słyszymy cię wyraźnie. — Martin nienawidził dętych formalności prawie tak bardzo, jak kumplowskiej poufałości.

— Obiekt znajduje się w polu widzenia, w odległości około jedenastu do dwunastu metrów. Zdejmować w maksymalnym zbliżeniu, czy z aktualnej odległości?

— Zdejmować? — Caroline aż podskoczyła. — Przecież to moje Polowanie. Co on sobie wyobraża?!

— On nie miał na myśli zabijania — uspokajał Martin. — Po prostu chce wiedzieć, czy ma filmować stamtąd, gdzie stoi, czy podejść bliżej. Nie mogę ścierpieć tego byłego kapitana niszczyciela, ale Fortinbras wynajął go u pośrednika. — Wcisnął przełącznik. — Numer trzy, utrzymuj pozycję i w żadnym przypadku, powtarzam: w żadnym przypadku nie zmniejszaj odległości od obiektu. A teraz pokaż, co tam masz.

— Tak jest — Głos z monitora był tak wyraźny, że można było prawie zobaczyć szczeciniaste wąsy mówiącego.

Szary ekran monitora pojaśniał, potem szzerwieniał, następnie pojawiły się zielone i karmazynowe ząbkowane linie. W końcu obraz się wyklarował. Widać było śliczną i smutną kobietę, zerkającą spod spuszczonej powiek na trzech wąsatych, zaciskających usta mężczyzn. Ktoś powiedział po włosku: „Dziś pokażemy państwu następny epizod dziwnego i poplątanego życia...”

— Hej, numer trzy, co ty nam dajesz? — zawołał Chet.

— Przepraszam. To tylko drobne przeoczenie przy wielokierunkowym nagrywaniu.

— Czy to mają być przeprosiny? — spytał Martin złowieszczo.

— Nie, proszę pana, po prostu wyjaśnienie. Oto jest proszę pana.

Ekran zgasł na moment i znowu pojaśniał. Marcello Polletti, wyraźnie widoczny, szedł ulicą apatycznym krokiem, ze zgarbionymi ramionami.

— Wszelkie oznaki chronicznej depresji — powiedział natychmiast Chet.

— Może po prostu jest zmęczony. — Caroline z uwagą oglądała twarz Pollettiego.

— Wygląda jak idealna Ofiara — z chłopięcym entuzjazmem wykrzyknął Cole.

— Jedyna idealna Ofiara, to martwa Ofiara — zimno stwierdziła Caroline. — Sądzę, że to zwykły leń.

— Czy to dobrze dla ciebie? — spytał Cole z nadzieją.

— Wprost przeciwnie. Nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać po takim typie. — Przyglądała się Pollettiemu jeszcze przez chwilę. — Ale wyczuwam tu jeszcze coś innego, coś więcej niż lenistwo, depresja, czy zmęczenie. On się nie ukrywa, ani nie ucieka, nie robi nic takiego, czego się oczekuje po Ofierze. Po prostu idzie sobie ulicą, stanowiąc doskonały cel.

— To rzeczywiście wygląda trochę dziwnie — zgodził się Martin.

— Czy dostał oficjalne zawiadomienie?

— Sprawdzalem to — oznajmił Martin tonem szefa i strzelił palcami. Chet niespokojnie stukał palcem o palec. Cole popędził na zaplecze, przyniósł telefon i włączył do gniazdka.

Martin wykręcił numer Ministerstwa Polowań w Rzymie i starał się porozumieć po angielsku z kolejnymi rozmówcami. Jednak po chwili zrezygnował, bo nikt go nie rozumiał.

— Ee, szefie — odezwał się nieśmiało Chet — Przerobiłem jeden hypnosomniczny kurs włoskiego, żeby rozumieć najprostsze rzeczy. Jeśli pan chce...

Martin wręczył mu telefon. Mówiąc z czystym florentyńskim akcentem Chet dowiedział się, że B.27.38, Polletti Marcello, faktycznie otrzymał oficjalne zawiadomienie o swoim aktualnym statusie Ofiary w Polowaniu.

— Dziwne — skomentował Martin. — Zdecydowanie dziwne. Gdzie on teraz idzie?

— Do jakiegoś domu — zgadywała Caroline. — Myślisz, że będzie spacerował ulicami przez

resztę dnia, by zadowolić naszych kamerzystów?

Obserwowali Polletiego, który wszedł do budynku. Po chwili na ekranie widać już było tylko zamknięte drzwi. Martin wcisnął przycisk na monitorze.

— Słuchaj, numer trzy. Obiekt jest niewidoczny. Wyłącz obraz. Czy możesz obserwować ten dom przez godzinę lub dwie bez wzbudzania zaciekawienia osób postronnych?

— Tak, znajduję się na tylnym siedzeniu volkswagena. Do tej pory, o ile mi wiadomo, nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

— Bardzo dobrze. Ustal adres tego domu. Zwolnimy cię za godzinę, maksimum dwie. Zostań w samochodzie. Jeśli stwierdzisz, że wzbudzasz jakiegokolwiek podejrzenia, odjeżdżaj natychmiast. Jasne?

— Całkowicie.

— Do zobaczenia.

— Bez odbioru. — Kamerzysta się wyłączył.

Martin ponownie wcisnął przycisk i zwrócił się do Caroline.

— No, moja droga. Znaleźliśmy faceta, wiemy, gdzie mieszka. Mamy teraz godzinę trzecią po południu minut trzydzieści cztery i piętnaście sekund. Musisz go przyprowadzić jutro rano do Koloseum. Nie będzie to najłatwiejsze zadanie. Jak sądzisz, dasz radę go ściągnąć?

— Myślę, że tak — odparła słodkim tonem Caroline. — Chyba masz do mnie zaufanie?

Martin spojrzał na nią, potem w zamyśleniu przygryzł górną wargę.

— Taa. Myślę, że tak. Naprawdę jestem przekonany, że dasz radę. Caroline, zmieniłaś się.

— Wiem. Może to wpływ Rzymu, może dziesiątego zabójstwa, może obu spraw, a może jeszcze czegoś innego. Chłopcy, będę z wami w kontakcie.

Wstała i wykonała wspaniałe wyjście z sali balowej „Borgia”.

Rozdział 9

Apartament Marcella Polletiego, choć jasny i szykowny, odznaczał się charakterem tak samo

niestałym jak jego właściciel. Meble były niskie, wygodne, wzajemnie dopasowane i przyjemne dla oka. Jednakże, tak jak ich pan, nie miały żadnego określonego stylu. Były tu trzy ciągi wewnętrznych schodów: jedne prowadziły na taras, drugie do sypialni, a trzecie na razie nie miały przeznaczenia i kończyły się na gładkiej białej ścianie. Te schody, tak jak i meble, też odzwierciedlały usposobienie swojego właściciela.

Polletti leżał wygodnie na eleganckiej karmazynowej kozetce. Na piersiach trzymał czerwono-niebieską zabawkę, małą (na tranzystorach, baterie do ładowania, pięć lat gwarancji, nadająca się do mycia, radość dla całej rodziny!). Drapał ją bezmyślnie za uchem, a sztuczny zwierzak łasił się i szczebiotał. Po jakimś czasie przestał drapać zabawkę i zaczął głęboko oddychać. Ale po trzech głębokich wdechach i wydechach dał sobie z tym spokój, gdyż, podobnie jak wiele innych rzeczy, przyprawiało go to o zawroty głowy i mogło doprowadzić do mdłości. A ponadto wiedział, że postępuje wystarczająco właściwie, jeżeli w ogóle raczy oddychać. W jego obecnej sytuacji głębokie oddechy stanowiły i tak lekką przesadę, gdyż sam czas, który dany mu jeszcze będzie na oddychanie, może okazać się dość krótki.

Uśmiechnął się do siebie, bo właśnie utworzył aforyzm albo może nawet sentencję.

Na przeciwległej ścianie wisiał w uchwytych odbiornik telewizyjny. Obok niego, na niskim stoliku do kawy, znajdowało się sześć książek, gazeta, piętnaście komiksów, butelka whiskey, dwie brudne szklanki, Smith & Wesson, model XCB3 znany jako odwetowiec, z aluminiową rękojeścią, w pełni załadowany ale bez iglicy spustowej (Marcello już dawno zaplanował wstawienie tej iglicy). Ponadto na stoliku leżał zgrabny jednostrzałowy derringer o całkowitej długości trzech centymetrów, dający się doskonale ukryć pod ubraniem, i wystarczająco celny na odległość do jednego metra. Oprócz derringera znajdowały się tam jeszcze dwa inne pistolety o wątpliwym rodowodzie i równie wątpliwej użyteczności. Na rogu stolika leżała kuloodporna kamizelka, najnowszy model, wyprodukowana dwa lata temu przez Hightree & Ouldie, Kamizelki Kuloodporne, Dostawca Jej Królewskiej Mości. Kamizelka ważyła dziewięć kilogramów i mogła zatrzymać każdy pocisk z wyjątkiem nowego magnum superpenetrator 9 mm, produkowanego od zeszłego roku przez Marshlands of Fiddlers Court, Pociski, Dostawca Jego Królewskiej Mości. Superpenetrator był obecnie ulubioną bronią wszystkich Łowców.

Obok kamizelki leżały trzy pogniecione paczki papierosów. I w końcu, stała tu jeszcze do połowy wypita filiżanka kawy.

Telewizor, zaprogramowany czasowo, włączył się sam na Międzynarodową Godzinę Łowcy, program, który należało oglądać, aby się orientować, kto został zabity, przez kogo, i w jaki sposób.

Dziś nadawano transmisję z Dallas w Teksasie, miasta w którym stosunek polujących ptaszków (jak z afektacją mówiono o uczestnikach Polowań) do liczby mieszkańców był wyższy niż w jakimkolwiek innym mieście na świecie. Z tego powodu Dallas, Raj Zabójców, jak je nazywano, było czymś w rodzaju Mekki dla miłośników przemocy.

Gospodarzem programu był delikatny, sympatyczny młody Amerykanin, mówiący z tą mieszaniną naturalnej uprzejmości i niewymuszonej familiarności, którą tak trudno naśladować, a tak łatwo znienawidzić.

— Cześć, przyjaciele. I specjalne halo dla wszystkich agresywnych chłopaków i dziewczyn, którzy będą w przyszłości Łowcami, Łowczyniami lub Ofiarami. Dzieciaki, mam dla was wyjątkową wiadomość. Bez zbędnych kazań chciałbym wam po prostu przypomnieć, że moralnie niewłaściwe jest zabijanie swoich rodziców, nawet gdy macie coś, co wygląda jak istotny powód, a ponadto jest to niezgodne z prawem. Dzieci, mówię to całkiem serio. Nie zabijajcie rodziców. Idźcie do swojego nauczyciela gimnastyki, a on zorganizuje wam walkę z kimś waszego wzrostu i wagi. Walkę na pałki, topory lub na pięści chronione rzemieniami, zależnie od waszego wieku i statusu w szkole. Wiem, że to nie będzie prawdziwe Polowanie. Wiem, że wiele z was, dzieciaki, uważa, że kilka złamanych kości czy wstrząs mózgu to kaszka z mleczkiem. Ale wiercie mi, to jest czysty sport, rozwija kondycję i wyrabia szybki refleks, a także doskonale rozładowuje agresję. Wiem również, że wielu z was uważa pistolet czy granat za jedyne rzeczy, które się naprawdę liczą, ale to tylko dlatego, że nikt z was nigdy nie trzymał w ręce żadnej innej broni. Pozwólcie sobie jednak przypomnieć: gladiatorzy w starożytnym Rzymie walczyli na pięści, mając ręce owinięte tylko rzemieniami, i nikt nie uważał ich za niewieściuchów. Rycerze w średniowieczu machali naprawdę skutecznie toporami, i nikt się z nich nie śmiał. No i co wy na to, dzieciaki? Może tego popróbowujecie?

— Chciałbym znowu być dzieckiem — rozmarzył się Polletti.

— Przecież jesteś nim — ze szczytu schodów rozległ się grobowy głos.

Polletti nawet nie podniósł głowy. To była tylko Olga, schodząca powoli z sypialni.

— A teraz kilka innych informacji i widoków ze świata Polowań — entuzjazmował się prezydent. — W Indiach, niedawne ale powszechne odrodzenie starożytnego kultu tugów, religijnych morderców, zostało oficjalnie potwierdzone przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych w New Delhi. Rzecznik prasowy ministerstwa poinformował dziś, że...

— Marcello — zawołała Olga.

Polletti zamachał uciszająco ręką. Na ekranie pojawił się bombajski sklep z czymś w rodzaju szalików.

— ...zabójstwo religijne, odwieczna tradycja duszenia ludzi za pomocą jedwabnej szarfy lub, w przypadku skrajnej biedy, bawełnianej szarfy...

— Marcello, tak mi przykro. — Olga zeszła do połowy schodów i opadła ciężko na poręcz.

— ...jest to jeden z niewielu sposobów zabójstwa dostępny praktycznie dla ludzi wszelkich wyznań, gdyż nie łamie zakazu przelewania krwi, bardzo wyraźnie stawianego w wielu głównych religiach świata. Wiele grup buddystów na Cejlonie i w Birmie potwierdziło zainteresowanie tą metodą. Natomiast rzecznik Kremla nazwał to, cytując: „najczystsza kazuistyka”. Ten punkt widzenia został zakwestionowany przez rzecznika rządu Chińskiej Republiki Ludowej, który według informacji podanych przez Agencję Nowe Chiny, określił mordowanie szarfą (lub Tsingato, Obejmowanie Szyi, jak to nazwał), jako prawdziwą broń ludu, i dlatego...

— Marcello!

Polletti niechętnie odwrócił głowę. Olga dotarła już na sam dół schodów. Jej czarne włosy swobodnie opadały na ramiona w wężowych splotach, jak u Meduzy. Usta miała umalowane karmazynowo, z kwadratowymi zakończeniami z boków, według najnowszej mody „na pytona”, a jej wielkie, czarne oczy były mętne i nieobecne, jak oczy młodego wilczka postrzelonego w brzuch.

— Marcello, czy kiedykolwiek mi wybaczysz?

— Oczywiście — zapewnił szybko Polletti i znów wpatrzył się w ekran.

— Brazylijski prezydent elekt Gilberte, otwierając uroczyście drugi etap Olimpiady, powiedział milionom ludzi znajdujących się na Centralnym Stadionie Rio, że uzyskanie pełnej emocjonalnej katharsis przez skanalizowanie jej i skierowanie na Polowania, z powodów ekonomicznych nie jest niestety ogólnie dostępne. Natomiast Olimpijskie Walki Gladiatorów, dające najdoskonalszą i najpotężniejszą formę częściowej katharsis, są w zasięgu możliwości wszystkich. Następnie stwierdził, że obecność na zawodach jest obowiązkiem każdego obywatela, który szczerze chce, aby takie masowe wojny, jakie zdarzały się w przeszłości, już nigdy się nie powtórzyły. Jego słowa spotkały się z wielkim aplauzem. Do pierwszej walki w dniu dzisiejszym stanęli Antonio Abruzzi, trzykrotny mistrz Europy w stylu wolnym, i popularny leworęczny Fin Aesir Drngi, zwycięzca zeszłorocznych półfinałów Północnej Europy. Widzów zaskoczyło...

— Och, ciekawe. — Kolana Olgi ugięły się, a zbielała dłoń, zaciśnięta na poręczy, rozwarła się bezwładnie. — Marcello, tak mi przykro, tak bardzo, bardzo przykro. — Poręcz wysunęła się z jej wyprostowanych palców. Druga dłoń otworzyła się i wypadła z niej złowieszcza brązowa buteleczka ponurego kształtu i o oczywistej zawartości. Polletti rozpoznał ją natychmiast. W tej buteleczce Olga trzymała swoje pigułki nasenne, albo raczej miała zwyczaj je trzymać. Teraz butelka, bez korka, toczyła się pusta po dywanie.

Było jasne dla każdego, że Morfeusz^[4] utworzył fatalny związek ze swoim bratem Tanatosem^[5].

— Przedawkowałam pigułki nasenne — wyjaśniła Olga na wypadek, gdyby Marcello nie zrozumiał, co się stało. — Przypuszczam.. przypuszczam.. — Głos ją zawiódł i nieszczęśliwa kobieta ciężko upadła na dywan koloru sierści kreta.

— ...natomiast w zawodach w Broadsword, Nicholai Groupopolis z Grecji uzyskał wyraźne zwycięstwo, zadając śmiertelny cios skośnie z dołu, z zamachu od tyłu, Edouardowi Comte-Couchetowi z Francji, swojemu rywalowi, walczącemu elegancko, ale stojącemu wyraźnie o klasę niżej. W wadze średniej duszenia niespodziewane zwycięstwo przypadło Kimowi Sil Kulowi z Republiki Korei Centralnej.

— Wybacz, kochanie. — Polletti ze skruszoną miną odwrócił głowę od ekranu. — Czy mówiłaś, że masz kłopoty z zaśnięciem?

— W klasie B podwójnego sztyletu klasycznego zarządzono losowanie między Juanitem Riverą z Oaxaca, Meksyk, i Giuliem Carrerim z Palermo, Sycylia, natomiast...

— Powiedziałam — Olga mówiła słabym, ale wyraźnym głosem — że przedawkowałam pigułki nasenne, barbiturany mówiąc ściślej.

— Na zawodach w Granadzie, w wadze lekkośredniej Michael Bornstein z Omaha, Nebraska, mimo rozdzielania przez sędziego, zadał cios przeciwnikowi...

— Nie mam żalu do nikogo, tylko do ciebie Marcello, gdyż to ty doprowadziłeś mnie do tego swoją obojętnością w tych ostatnich dwunastu latach, i to ty, jeśli w twojej niewrażliwej duszy została choć odrobina sumienia, będziesz cierpieć bardziej niż ja cierpię teraz, i może kiedyś zrozumiesz, że zaniechanie jest wypaczoną formą działania, i że nie zwracanie uwagi jest zdeprawowaną formą zwracania uwagi, i kiedy ten dzień nadejdzie...

— Olga.

— Tak? — Głos Olgi był zaledwie słyszalny przez jej ciężki oddech.

— Zapomniałem ostatnio kupić ci pigułki nasenne i ta butelka była pusta.

Olga wdzięcznie wstała z podłogi, wzięła papierosa z paczki leżącej na stoliku i zapaliła. Zaciągnęła się głęboko, dmuchnęła dymem w sufit i powiedziała:

— Marcello, czemu ty nigdy nic dla mnie nie zrobisz? Przecież wczoraj byłeś w drogerii.

Polletti zmarszczył czoło. Zawsze podziwiał jej umiejętność polegającą na tym, że żadna kłopotliwa dla niej sytuacja nie wprowadzała jej w zażenowanie.

— ...w zawodach specjalnie opancerzonych samochodów, aston-martin Vulcan V wycelował bardzo precyzyjnie, lub mówiąc inaczej, bardzo szczęśliwie. Najpierw trafił w faworyzowanego mercedesa Trupia Czaszka 32...

Olga podeszła do wazy ze sztucznymi różami, poprawiła je z obrzydzeniem kilkoma lekkimi, zręcznymi ruchami. Wszystko robiła w pięknym stylu, chociaż niemal wszystko robiła nie tak.

— Marcello — było to powiedziane miłym, radosnym głosem, którego używała jedynie do naprawdę ważnych spraw. — Może byśmy się pobrali? Byłoby to takie przyjemne, naprawdę przyjemne.

— Przecież jestem żonaty. — A jeśli byś nie był?

— Wówczas moglibyśmy się zastanowić nad tą sprawą nieco dokładniej — odparł Marcello z automatyczną ostrożnością, której się nabywa po dwunastu latach życia z tą samą kochanką.

Olga uśmiechnęła się gorzko i zaczęła wchodzić na schody wiodące na taras. Gdy już była prawie na górze, odwróciła się.

— Przypuszczam, że już nie jesteś żonaty. Potwierdzenie unieważnienia twojego małżeństwa już chyba przyszło, prawda?

— Niestety, nie — powiedział Marcello zdecydowanym, poważnym, męskim głosem, który rezerwował dla swoich najpoważniejszych kłamstw. — W takich sprawach nie da się zmusić urzędników do pośpiechu. O ile się orientuję, zawiadomienie może nawet nigdy nie nadejść.

— Jednak już je dostałeś. Przyznaj się!

Marcello odwrócił się tyłem do Olgi i zaczął się bawić swoją elektroniczną małpką. Małpka przypominała mu jego samego. Na ekranie telewizora było widać trzecią rundę eliminacji szermierczych: sześciu mężczyzn, przepisowe rapiery, skórzane zbroje. Hiszpan chyba zaczynał zdobywać przewagę nad Niemcem.

Olga weszła na kolejny stopień schodów i znalazła się przy ciężkiej wazie z terakoty, którą sama ustawiła tutaj poprzedniego dnia. Widok tej wazy oraz leżącego beczynnym, zadowolonego z siebie Marcella, wprawił ją we wściekłość.

— Zwierzę! Świnia! Głupi wół! — wykrzyknęła i złapała wazę. Trochę się zachwiała pod jej ciężarem, ale zaraz potem rzuciła ją w dół.

Polletti nawet się nie ruszył. Waza przeleciała kilka centymetrów od jego głowy i rozbiła się na podłodze. Biedna Olga nigdy nie trafiała: ani do celu, ani na prawdziwą miłość, ani na męża, ani na przyjęcie, ani na umówione spotkanie, ani na wizytę u psychoanalityka, ani na cokolwiek innego. Doktor Hoffhauer powiedział jej, że jest krańcową masochistką, i że próbuje skompensować swoje autodestrukcyjne wewnętrzne potrzeby pseudospontanicznymi impulsywnymi działaniami sadystycznymi, co oczywiście nie prowadzi do niczego z uwagi na nadmiernie rozwinięte pragnienie śmierci. Ale, jak podkreślał doktor, Polletti miał jeszcze bardziej skomplikowany charakter (wyciągał takie wnioski na podstawie tego, co Olga o nim opowiadała), gdyż w jego dążeniu do śmierci chyba nie było sadystycznych impulsów, które pozwalałyby utrzymać je w ryzach.

Skończyła się Międzynarodowa Godzina Łowcy i telewizor wyłączył się sam. Polletti, spokojny osobnik o hipotetycznych, niezrównoważonych dążeniach do śmierci, podniósł się z kozetki, strzepnął terakotowy pył z włosów i skierował się do drzwi.

— Gdzie idziesz? — Pytanie zostało zadane oskarżycielskim tonem.

— Wychodzę.

— Dokąd?

— Po prostu wychodzę.

— Weź mnie z sobą.

— Nie mogę. Idę do klubu Łowcy. Tam jest wstęp tylko dla akredytowanych Łowców lub Ofiar.

— Wpuszczają wszystkich!

- Nie do sali członkowskiej numer 1. A ja właśnie tam idę.
- Ale powiedziałaś przed chwilą, że po prostu tak sobie wychodzisz.
- Wychodzę z domu, ale po wyjściu z domu pójdę do klubu.
- Świnia!
- Chrum, chrum — odparł Polletti i wyszedł z pokoju.

Rozdział 10

— Tu numer jeden do centrali. Czy mnie słyszysz, centrala, czy mnie słyszysz? Odbiór.

— Słyszę cię głośno i wyraźnie — odpowiedział Martin, który objął jednoosobowy dyżur w centrali. Pierwszą rzeczą, którą zrobił po przylocie do Rzymu, była organizacja stanowiska dowodzenia. To było coś, o czym zawsze marzył: dowództwo, z nim samym jako dowódcą o kodzie Centrala. I teraz to miał, miał teraz również sprzęt radiowo-telewizyjny o wartości dwustu tysięcy dolarów złożony w rogu sali balowej „Borgia”. Siedział przed swoim sprzętem z mikrofonem w jednej ręce i cygarem w drugiej. Na uszach miał słuchawki. Wszystko to razem bardzo mu się podobało.

— Tu numer dwa. Chwilowo nic się nie dzieje.

— Kontynuuj obserwację — zdecydowanie polecił Martin.

Roy Bell Dancers skończyli właśnie próbę jednego z tańców i odpoczywali na scenie. Popijali kawę i zastanawiali się, jak przy niektórych figurach uchronić paznokcie przed złamaniem. Caroline, która do tej pory czytała książkę o wychowaniu i tresurze cocker spanieli, odłożyła ją i podeszła do stanowiska dowodzenia Martina.

— Numer trzy wpisuje się — rozległo się w słuchawkach.

— Melduje się — poprawił go Martin.

— Przepraszam. Numer trzy melduje, że nie ma nic do zameldowania.

— Zrozumiałem — potwierdził Martin lakonicznie. Zaciągnął się cygarem, potarł czoło i zagryzł wargę. Słuchawki zgniatały mu uszy, ale nie miał zamiaru zdejmować ich z tak nieistotnego powodu. Był w stanie znieść ból, bo wiedział, że inni musieli znosić prawdopodobnie gorsze rzeczy.

— Numer cztery melduje się. Hej, słuchaj, Martin, co byś powiedział, jeżeli...

— Nie Martin. — Martin skarcił meldującego się. — W tej sytuacji masz zwracać się do mnie per Centrala. — Pokręcił głową z dezaprobatą. To Chet był numerem cztery. Prawdopodobnie złościł się, że musi pracować jako obserwator i to zaledwie numer cztery. Ale czasami tak się składa i nie ma na to rady. W każdym razie Chet nie powinien wykorzystywać ich dwunastoletniej przyjaźni i mówić mu po imieniu, szczególnie wtedy, kiedy Martin wyraźnie wszystkim wyjaśnił, że w operacji tego rodzaju konieczne jest używanie kodu Właściwego dla rozmów radiowych. — Numer cztery, co masz do przekazania? — warknął.

— Nic. Numer cztery prosi o zgodę na przerwę na lunch.

— Nie wyrażam zgody.

— Słuchaj centrala, nie miałem czasu na śniadanie...

— Ale na wynajęcie Koloseum to miałeś czas.

— Przecież, już ci mówiłem, ja naprawdę nie miałem zamiaru...

— Prośba odrzucona!!! — zawył Martin i spokojnym już głosem dodał: — Czuję, że lada moment coś się zacznie dziać. Numer cztery, nie mogę ci pozwolić na przerwę właśnie teraz, naprawdę nie mogę.

— No, dobrze — odpowiedział numer cztery, czyli Chet — Będę kontynuował obserwację, aż do otrzymania innych rozkazów. Wyłączam się i bez odbioru, chciałem powiedzieć bez odbioru i wyłączam się.

Martin konwulsyjnie złapał mikrofon. Boże, Boże, jak on nienawidził lekkomyślności, lenistwa, zarozumiałości, niesubordynacji i innych podobnych rzeczy! Nie zdawał sobie z tego sprawy aż do dziś, kiedy w końcu przyjął odpowiedzialność za swoją własną operację. Zaczynał już prawie odczuwać lekką sympatię dla pana Fortinbrasa.

— Ojej, zebrałeś tu całkiem sporo sprzętu. — Caroline powiedziała to głosem wskazującym na całkowity brak zainteresowania.

— Mamy wszystko, co trzeba — odparł Martin. — Operacji tego rodzaju nie można przeprowadzić mając do dyspozycji dwie puszki i kawałek sznurka. — Próbował zaciągnąć się głęboko cygarem, ale okazało się, że łapiąc kurczowo za mikrofon, rozgniółł je. Zapalił następne i wciągnął dym głęboko w płuca.

— A co to za wskaźnik tam prosto, po lewej stronie?

Martin nie miał pojęcia co to jest, ale wyjaśnił zdecydowanie:

— To wielofazowy, przeciążeniowy element rheostatyczny.

— Ooo, a czy to ważne?

Martin uśmiechnął się lekko i zaciągnął cygarem.

— Czy ważne? Cały pulpit sterowniczy mógłby się rozpaść w drobny mak bez tego WFER. Przypuszczam więc, że można go nazwać ważnym.

— A czemu mógłby się rozpaść w drobny mak?

— No, przede wszystkim z powodu rezonansowego czynnika liniowego napięcia wejściowego — tłumaczył Martin. — W istocie, jest to bardzo interesujące zjawisko. Jeśli chcesz, mogę ci je opisać.

— Może innym razem.

Martin zgodził się. Czasami miał uczucie, że byłby w stanie podbić cały świat.

— Tu numer jeden! — zawył głos w słuchawkach — Obiekt właśnie wychodzi z domu! Powtarzam, obiekt...

— Usłyszałem cię za pierwszym razem. A poza tym, nie krzycz tak w mikrofon. Chcesz, żebym ogłuchł?

— Przepraszam, centrala, myślałem, że zostałem odłączony po tylu godzinach czekania.

— W porządku, nie szkodzi. Czy jeszcze ktoś go ma?

— Tu numer cztery. Mam go.

— Tu numer trzy. W zasięgu widoczności obiektu nie ma.

— Tu numer dwa, u mnie tak samo.

— To znaczy jak?

— Tak samo jak u numeru trzy, to znaczy, że nie widzę obiektu.

— Dobrze. Numer dwa i trzy pozostaniecie na pozycjach. Numer jeden, chciałbym żebyś...

— CQ, CQ, wzywam CQ. — W słuchawkach Martina rozległ się wyraźny, czysty głos. Martin nigdy wcześniej go nie słyszał, zaczął więc od razu podejrzewać szpiegostwo, kontrszpiegostwo i wszelkie inne możliwości,

— Słucham — odpowiedział natychmiast, ale nie zobowiązująco.

— Hej tam. Tu mówi 32ZOZ4321, Bob przy mikrofonie. Mam trzynaście lat i DX-uję z Wellingtonu w Nowej Zelandii. Pracuję na nadajniku Hammarlund 3BBC21 z ośmiostopową

kierunkową anteną dipolową, i dodatkową anteną dormeister dla kierowanej wiązki stratosferycznej. Chcę nawiązać łączność z każdym z braci krótkofalowców, szczególnie czekam na zgłoszenia radioamatorów z Kairu Bucharu i Szejangu, z którymi chciałbym wymienić karty DX-owe i poplotkować. Jak mnie słyszycie? Ostatnio zdarzyły mi się drobne kłopoty z Dormeisterem, ale mam nadzieję, że to była tylko plama słoneczna. Odbiór.

— Wyłącz się natychmiast! — wrzasnął Martin.

— Mam dokładnie takie samo prawo do pracy w eterze, jak pan — wyjaśnił z godnością 32ZOZ4321.

— Znajdujesz się na prywatnej, zastrzeżonej częstotliwości! Uniemożliwiasz mi pracę w kluczowym momencie. Odbiór.

Nastąpiła krótka chwila ciszy. Potem ponownie odezwał się 32ZOZ4321.

— O, rany, proszę pana. Ma pan rację! Mój 3BBC21 jest wspaniałym sprzętem, ale czasami trochę dryfuje. Bierze się to stąd, że nie stać mnie na oryginalne części, więc chwilami nie mogę utrzymać częstotliwości. Bardzo pana przepraszam, naprawdę bardzo mi przykro. Odbiór.

— No, w porządku, chłopcze, ja też kiedyś byłem młody. A teraz bardzo proszę, zjeżdżaj z mojej częstotliwości. Odbiór.

— Już się wyłączam, proszę pana. Mam nadzieję, że nie sporządzi pan raportu. Mógłbym stracić licencję. Odbiór.

— Nie będę o tym wspominał, jeśli NATYCHMIAST SIĘ WYŁĄCZYSZ!!

— Już się wyłączam i bardzo panu dziękuję. Czy byłby pan uprzejmy powiedzieć, jaki był mój sygnał? Odbiór.

— Pięć na pięć. Odbiór.

— Dziękuję panu. Wyłączam się. Bez odbioru.

— Wyłączam się. Bez odbioru — powtórzył mechanicznie Martin.

— Wyłączam się — numer jeden zrobił to samo.

— Nie, nie ty!

— Ale powiedziałeś...

— Nieważne, co powiedziałem. Gdzie jest obiekt?

— Widzę go — odpowiedział numer jeden. — Idzie po Via Cavour i właśnie doszedł do przecznicy Via dei Fori Imperiali. Zatrzymał się i... cholera. Autobus właśnie mi go zasłonił.

— Tu numer cztery. — To był Chet — Mam go. Nadal stoi na rogu. Trzyma ręce w kieszeniach, garbi się. Patrzy do góry, raczej z zainteresowaniem...

— Na co?! — nie wytrzymał Martin.

— Na chmury. Tylko to znajduje się tu w górze — wyjaśnił numer cztery.

— Czemu miałby się przyglądać chmurom? — Martin skierował to pytanie do Caroline.

— Może lubi chmury.

— Tu numer trzy do centrali. Mam go. Obiekt idzie ulicą o nieczytelnej nazwie, w kierunku północ — północny zachód i stopień na zachód. Jest to linia przechodząca przez Forum Trajana, które zostało zaprojektowane przez Apollodorusa z Damaszku i po ośmiuset latach jest w dalszym ciągu w zdumiewająco dobrym stanie.

— Numer trzy, bardzo proszę, przekazuj tylko informacje dotyczące obiektu, chociaż podoba mi się twój styl.

— Numer trzy informuje. Mam go! Ta nieczytelna ulica to Via Quattro Novembre. Obiekt zatrzymał się, mniej więcej trzydzieści pięć metrów na południe od kościoła Matki Boskiej Loretańskiej.

— Zrozumiałem — potwierdził Martin. Kręcąc się przed dużą ścienną mapą Rzymu i okolic, zaznaczał ruchy Polletiego na przeźroczystej nakładce. Grubą czarną linią rysował dotychczasową, rzeczywistą trasę, a kropkowaną czerwoną przewidywany dalszy kierunek poruszania się obiektu.

— Tu numer jeden. Mam go. W dalszym ciągu stoi.

— Co on tam robi?

— Myślę, że drapie się w nos — poinformował numer jeden.

— Lepiej, żebyś miał całkowitą pewność — złowieszco powiedział Martin.

— Numer dwa potwierdza informacje numeru jeden. Jak widać przez lornetkę Zeissa 8x50, zamontowaną na trójnożnym statywie, obiekt rzeczywiście drapie się w nos... Korekta. Obiekt właśnie skończył uprzednią czynność.

— Tu numer dwa. Obiekt znowu porusza się, ogólnie w kierunku północnym wzdłuż Via Pessina, w kierunku przecinającej ją Via Salvatore Tommasi.

Martin przyglądał się chwilę mapie, mrużył oczy, wpatrywał pod kątem, wreszcie wziął mikrofon.

— Nie mogę znaleźć tych ulic. Numer dwa, podaj jeszcze raz ich nazwy.

— Dobrze. Obiekt posuwa się wzdłuż... Centrala, bardzo przepraszam, ktoś musiał dać mi zły zestaw map. Te ulice, które podawałem, znajdują się w Neapolu. Nie wiem, jak to się mogło stać...

— Spokojnie. Nie ma czasu na panikę. Czy ktoś inny go widzi?

— CQ, CQ wzywam CQ, tu mówi 32ZOZ4321...

— Ty znowu zdryfowałeś! — przenikliwie krzyknął Martin.

— Strasznie przepraszam — kajał się 32ZOZ4321 — Wyłączam się. Bez odbioru.

— Tu numer cztery. On skręcił na Via Babuino.

— Jak się tam dostał? — spytał Martin po sprawdzeniu na mapie. — Urosły mu skrzydła, czy co?

— Korekta. To była Via Barberini.

— W porządku. Ale jak się tam dostał?

— Tu numer jeden. Obiekt został podwieziony przez niskiego, grubego, łysego faceta, prowadzącego niebieski kabriolet alfa romeo model XXV-1 z potrójnie chromowaną rurą wydechową oraz doładowarką Morrison-Chalmers. Obiekt i niski, gruby, łysy facet sprawiają wrażenie przyjaciół lub co najmniej znajomych. Jechali różnymi ulicami do Placu Hiszpańskiego, gdzie obiekt wysiadł.

— Czasami jeżdżą za szybko — mruknął do siebie Martin, zaznaczając nowe położenie na mapie. Następnie powiedział do mikrofonu: — Co zrobił potem niski, gruby, łysy facet?

— Odjechał, ogólnie w kierunku Via Veneto.

— Czy ktoś jeszcze widzi obiekt?

— Tu numer dwa. Mam go. Stoi przed budynkiem American Express, lekko w lewo od środka.

— Co robi?

— Ogląda widokówki i prospekty w gablocie. Tam jest informacja o wycieczce z przewodnikiem wokół Grecji przez Ateny, Pireus, Korfu, Lesbos i Kretę.

— Grecja! — zdenerwował się Martin. — Nie może mi tego zrobić. Na to nie jestem przygotowany. Musimy...

— Tu numer cztery. Obiekt znowu się porusza. Przeszedł kilkanaście metrów i teraz siedzi na Schodach Hiszpańskich.

— Jesteś pewien? — warknął Martin.

— Całkowicie. Siedzi na siódmym stopniu od dołu i patrzy natrętnie na dwie dziewczyny, blondynki, które siedzą na piątym i czwartym stopniu, też od dołu.

— On jest sprytniejszy niż na to wygląda. Nikt już nie chodzi na Schody Hiszpańskie. Zastanawiam się, czy on próbuje...

— Tu numer trzy! Obiekt jest znowu w ruchu! Przechodzi przez Plac Hiszpański... Zgubiłem go. Nie! Mam go znowu, jest na Via Margutta, w połowie jakiegoś budynku... Zatrzymał się i wchodzi do niego.

— Co to za budynek? — krzyczał Martin.

— Klub Łowcy — poinformował numer trzy. — Czy mam wejść za nim do środka?

Caroline obserwowała akcję na monitorze. Teraz wyjęła mikrofon z rąk Martina i powiedziała:

— Wszystkie jednostki, pozostaniecie tam, gdzie jesteście. Sama go zdejmę z Klubu Łowcy.

— Czy to rozsądne? — zaniepokoił się Martin.

— Może nie, ale powinno być interesujące.

— Słuchaj, dziecino, facet jest uzbrojony i niebezpieczny. — I atrakcyjny. Chcę się przekonać, jaki on jest naprawdę.

— Pan Fortinbras nie pochwaliłby tego.

— Pan Fortinbras nie zabił nikogo, a ja tak.

To kończyło dyskusję. Martin tylko wzruszył ramionami, kiedy Caroline wychodziła z sali. Potem uśmiechnął się z przekąsem i znużony opadł na oparcie swojego obrotowego fotela. Primadonna i niekompetentni podwładni, oto z czym musi się borykać: z ludźmi, którzy bez opieki nie trafią nawet do własnego łóżka. Sam musi wszystko robić. I kto mu za to podziękuje? Nikt! Jedyne co dostanie, to satysfakcja z dobrze wykonanej roboty.

— Wszystkie jednostki, postępujcie zgodnie z planem Swobodny Piekarz, powtarzam: plan Swobodny Piekarz. Bez odbioru.

Wychodząc z sali w dalszym ciągu uśmiechał się z przekąsem, a dawno zgasłe cygaro zwisało oklapnięte z kącika jego ust

Roy Bell Dancers wyszli już wcześniej i wielka sala balowa była teraz całkiem pusta. Tylko radio szumiało monotennie, w pewnej chwili dał się słyszeć trzask. Po paru sekundach zupełnej ciszy w słuchawkach rozległ się wyraźny głos.

— Tu mówi 32ZOZ4321, ogólne wywołanie CQ, Bob przy mikrofonie. Czy jest tam kto?

W wielkiej sali balowej panowała głęboka i absolutna cisza. Na wezwanie nikt nie odpowiedział.

Rozdział 11

Rzymski Klub Łowcy mieścił się w ładnym budynku o zgrabnych proporcjach, w stylu neo-barokowym. Polletti minął sale ogólnodostępne i pojechał windą na trzecie piętro. Tam poszedł do drzwi z napisem: SALA CZŁONKOWSKA NR 1 (TYLKO DLA MĘŻCZYZN). Było to jedno z niewielu miejsc w Rzymie, gdzie mężczyzna mógł się odprężyć, zapalić, porozmawiać, poczytać gazety, omówić ostatnie wydarzenia z Polowań, a nawet pójść spać bez obawy, że niespodziewanie wpadnie żona. A poza tym mężczyzna mógł zawsze powiedzieć, że tu był, niezależnie od tego, gdzie był naprawdę. W tej sali nie zainstalowano telefonów, a członkowie klubu uznawali lojalność za najwyższą cnotę.

Łowczynie narzekały na ten męski klanowy instynkt i tendencję do separowania się, więc klub dał im własny pokój na pierwszym piętrze, z napisem: SALA CZŁONKOWSKA NR 2 (TYLKO DLA KOBIET). Wprawdzie nie usatysfakcjonowało ich to w pełni, ale jak już powiedział Wolter, co naprawdę może usatysfakcjonować kobietę?

Polletti opadł na fotel i wymienił pozdrowienia z sześcioma czy siedmioma znajomymi. Wszyscy chcieli się dowiedzieć, jak przebiega jego aktualne Polowanie. Odparł im całkiem szczerze, że nie ma najmniejszego pojęcia.

— To źle — stwierdził Vittorio di Lucca, siwy mediolańczyk mający już na swoim koncie osiem zabójstw.

— Być może — zgodził się Polletti — ale w dalszym ciągu żyję.

— Niby prawda — odezwał się Carlo Savizzi, pulchny młody mężczyzna, z którym Polletti chodził do szkoły. — Tyle że nie masz z czego być dumny.

— Mam wrażenie, że chyba nie. Ale tak naprawdę, to ja niewiele więcej mogę zrobić.

— Możesz zrobić mnóstwo różnych rzeczy — powiedział starszy mężczyzna ciężkiej budowy, o szpakowatych włosach i twarzy wyglądającej jak źle wyprawiona skóra.

Polletti i pozostali czekali na dalsze słowa. To był Giulio Pombello, jedyny Zwycięzca Dziesięciu, jakim mógł się pochwalić Rzym. Zwycięzcy Dziesięciu zawsze należało okazać szacunek, nawet gdyby mówił nonsensy, co było zwyczajem starego Pombella.

— Musisz zorganizować obronę. — Pombello zamachał ręką w obronnym ruchu. — Istnieje tak wiele rozsądnych taktyk obronnych, jak wiele mamy rozsądnych taktyk Łowców. Zasadniczą sprawą jest oczywiście wybór. Na przykład Ofiara nie musi stosować taktyki Łowcy, a Łowcy nie zaleca się myśleć kategoriami obronnymi. Zgadzasz się z taką oceną, czy też twoim zdaniem myślę się?

Wszyscy zaczęli podkreślać, że słowa Mistrza (Pombello lubił, kiedy go tytułowano Mistrzem) są słuszne, dowodzą doświadczenia i trafiają w sedno sprawy. Równocześnie wszyscy marzyli o tym, żeby go tu, na miejscu, natychmiast trafił szlag, albo aby co najmniej dostał pilny telefon z wiadomością, że niezbędna jest jego natychmiastowa obecność na Korsyce.

— W ten sposób zredukowaliśmy cały problem do jego najistotniejszego punktu — kontynuował Mistrz. — Marcello, jesteś Ofiarą, dlatego też potrzebujesz obrony. Nic prostszego. Pozostaje nam tylko ustalić, którą z licznych znanych metod obronnych powinieneś zastosować.

— Ja nie mam instynktu obronnego — powiedział Polletti. — Zaczepnego zresztą też nie — uzupełnił po chwili namysłu.

Mistrz zignorował te słowa. Od momentu swojego dziesiątego zabójstwa nigdy nie zwracał uwagi na to, co mówią inni.

— Najwięcej szans da ci zastosowanie Koncentrycznego Pola Hartmana z Pogłębioną Sekwencją.

Wszyscy grzecznie skinęli głowami. Ten starzec naprawdę niewiele wie o Polowaniu.

— Nie sędzę, żebym to znał.

— Bardzo łatwo nauczysz się tej taktyki. Najpierw wybierasz sobie wieś średniej wielkości, albo lepiej miasteczko. Musisz mieć pewność, że ani twój Łowca, ani nikt z jego bliskich tam nie mieszka, gdyż to sprowadziłoby możliwości obrony do zera. Ale znalezienie neutralnego miasta nie jest takie trudne. W rzeczywistości wszelkie szansę są po twojej stronie.

— Faktycznie, to prawda — wtrącił Vittorio. — Właśnie w zeszłym tygodniu czytałem...

— Po znalezieniu miasta — pouczał Mistrz — zamieszkasz w nim przez tydzień, miesiąc, czy też na tak długi czas, jakiego twój Łowca będzie potrzebował, żeby cię odnaleźć. A kiedy tam przyjedzie, ty go zabijesz. Nic prostszego.

Wszyscy z podziwem kiwali głowami. Polletti spytał:

— A jeżeli Łowca znajdzie mnie pierwszy, w jakimś przebraniu czy...

— Ha, widzę że pominąłem kluczowy element Koncentrycznego Pola Hartmana z Pogłębioną Sekwencją. — Mistrz uśmiechnął się ze swojego własnego roztargnienia. — Otóż, Łowca nie ma żadnej możliwości, by pierwszemu cię znaleźć, i to bez twojej wiedzy, niezależnie od tego, jak doskonały będzie jego kamuflaż. Nie ma też możliwości śledzenia cię. Z chwilą wjazdu do miasta znajdzie się na twojej łasce.

— Dlaczego?

— Dlatego, że uprzednio zapłacisz każdemu mężczyźnie, kobiecie i dziecku za śledzenie go dla ciebie oraz obiecasz dodatkową nagrodę dla tego, kto pierwszy wyśledzi Łowcę. Jasne i proste? I to już wszystko.

Mistrz usiadł rozpromieniony, wszyscy mamrotali pochwały.

— Opłacić każdego mężczyznę, kobietę i dziecko — powtórzył Polletti. — Ależ to wymaga ogromnej sumy pieniędzy. Nawet jeśli chodzi tylko o wioskę z tysiącem mieszkańców,...

Mistrz zamachał niecierpliwie ręką.

— Przypuszczam, że trzeba by wyłożyć na wstępie parę milionów lirów, ale cóż to znaczy wobec zachowania życia.

— Oczywiście, nic — przyznał Polletti. — Tylko że ja nie mam paru milionów lirów.

— To źle się składa — stwierdził Mistrz. — Koncentryczne Pole Hartmana jest moim zdaniem najlepszą obroną ze wszystkich możliwych.

— Może, jeśli bym dostał jakiś kredyt...

— Nie trzeba rozpaczać. — Mistrz dodawał otuchy. — Słyszałem bardzo pochlebne opinie na temat Statycznej Obrony Schronowej.

— Czytałem o tym w zeszłym tygodniu — wtrącił Vittorio. — W Statycznej Obronie Schronowej człowiek zamyka się w szczelnym, pancernym pomieszczeniu, wyposażonym w regeneratory wody i powietrza, odpowiednio duży zapas żywności, czasopism i książek. Wszystko to można dostać w firmie Abercrombie & Fitch. Pomieszczenie powinno mieć ściany ośmiocentymetrowej grubości z superwytrzymałej stali o gwarantowanej odporności na każdy ładunek wybuchowy aż do jednej megatony.

— Czy daliby mi to na kredyt?

— Możliwe — powiedział Carlo. — Ale chciałbym cię ostrzec, że Fortnum & Mason produkuje obecnie multiwibrator o szerokim spektrum częstotliwości, który w gwarantowany sposób roznosi na strzępy wszystko i każdego, kto znajdzie się w takim pomieszczeniu. — Westchnął i potarł oczy. — To zdarzyło się mojemu nieszczęśliwemu kuzynowi Luigiemu w czasie jego dziewiczej, pierwszej obrony.

Wszyscy mamrotali słowa ubolewania.

— Ja nigdy nie lubiłem statycznych metod obrony — oznajmił Mistrz. — Są takie nieruchawe, brak im giętkości. Chociaż jeden mój siostrzeniec użył kiedyś bardzo pomysłowej metody Obrony Przez Odkrycie.

— Nigdy o takiej nie słyszałem. — Polletti okazał prawdziwe zainteresowanie.

— To metoda orientalna — wyjaśniał Mistrz. — Japończycy nazywają ją Niewrażliwość Przez Całkowite Odsłonięcie, a Chińczycy: Centymetr, Który Zawiera Dziesięć Tysięcy Metrów. Istnieje jeszcze chyba indyjska nazwa, ale w tej chwili jej sobie nie przypominam.

Wszyscy z zaciekawieniem czekali Po chwili Mistrz rzekł:

— W końcu nazwa nie jest taka ważna. Istotą tej metody Obronnej, jak mi wyjaśnił siostrzeniec, jest całkowite odsłonięcie się.

Wszyscy nastawili uszu.

— Mój siostrzeniec wydzierżawił w Abruzji kilka kilometrów kwadratowych całkowicie pustego terenu. Na samym środku tego obszaru ustawił namiot, z którego miał nieograniczone pole obserwacji, na kilka kilometrów w każdą stronę. Od handlarza używaną bronią wypożyczył przewoźny radar i zespolone działka przeciwlotnicze. Nawet nie musiał za to płacić gotówką, Wystarczyło, że przepisał na niego swój samochód. O ile się nie mylę, zdobył jeszcze skądś reflektory i zainstalował to wszystko w dwa dni. Co o tym sadzisz, Marcello?

— Wydaje się to całkiem pomysłowe. Zupełnie niezłe.

— Też tak myślałem. Ale niestety kiedy mój siostrzeniec wszystko już przygotował, jego Łowca kupił koparkę tunelową Aramco, wykopał tunel aż pod namiot i wysadził go w powietrze.

— Bardzo smutne — westchnął Vittorio.

— To był szok dla całej rodziny — przyznał Mistrz. — Ale zasadniczy pomysł jest nadal dobry. Widzisz, Marcello, jeśli wykorzystasz podstawową ideę nieco ją tylko modyfikując, wynajmiesz powiedzmy płaskowyż granitowy, zamiast kawałka zwykłego, piaszczystego gruntu, i zainstalujesz dodatkowo sejsmografy, może to zadziałać zupełnie dobrze. Oczywiście, zawsze będą istniały jakieś słabe punkty. Klasyczna broń przeciwlotnicza jest mało skuteczna wobec współczesnych samolotów z raketami. Ponadto istnieje możliwość, że Łowca wpadnie na pomysł kupienia moździerza czy czołgu, a w tym przypadku to, że teren jest odkryty, okaże się wadą.

— Tak — zgodził się Polletti. — Zresztą nie sędzę, abym zdążył na czas wykonać wszystkie niezbędne przygotowania.

— A co myślisz o zasadzce? — spytał Vittorio. — Znam kilka rodzajów wspaniałych zasadzek. Najlepsza z nich wymaga oczywiście czasu i pieniędzy...

— Nie mam pieniędzy — Polletti podniósł się — i najprawdopodobniej nie mam też czasu. Ale chciałbym wam wszystkim, a już zwłaszcza tobie, Mistrzu, bardzo podziękować za wasze rady.

— Och, to nic, nic, nie ma za co. Powiedz jeszcze, co masz zamiar zrobić?

— Ach, nic, nic, absolutnie nic — odparł Marcello. — Najlepiej, mimo wszystko, pozostawać

wiernym swoim własnym zasadom.

— Marcello, jesteś szalony! — Vittorio próbował przemówić mu do rozsądku.

— Ani trochę — Polletti odpowiedział już sprzed drzwi. — Jestem zaledwie pasywny. Panowie, życzę wam bardzo miłego popołudnia.

Lekko się uklonił i wyszedł. Pozostali milczeli przez chwilę, patrząc jeden na drugiego z mieszaniną konsternacji i znużenia.

— Zatruiwa go fatalna fascynacja śmiercią — stwierdził wreszcie Mistrz. — Według mojego rozeznania jest to typowy dla rzymian stan umysłu, z którym każdy powinien z całej siły walczyć. Symptomy tej choroby, bo też jest to najprawdziwsza choroba, są oczywiste dla spostrzegawczych oczu. Po pierwsze, należy do nich...

Pozostali słuchali tego z pustką w oczach. Vittorio gorąco życzył sobie, żeby tego Wielkiego Starego Człowieka potracił wreszcie samochód, najchętniej cadillac, i żeby potem przeleżał w szpitalu rok czy dwa. Carlo spał z szeroko otwartymi oczami, ale przy każdej przerwie w oracji Mistrza mruczał potakujące „hmm”, a od czasu do czasu zaciągał się nawet cygarem. Nigdy i absolutnie nikomu nie wyjawiał, w jaki sposób nauczył się to robić.

Rozdział 12

Caroline uniosła rękę. Na przegubie miała radio-zegarek „Detektyw Dick Tracy”, przekazywany w rodzinie Meredithów z pokolenia na pokolenie. Ludzie nieraz jej mówili, że powinna sprawić sobie nowszy, lepszy i mniejszy, ale za to z dodatkowymi funkcjami. Caroline w zasadzie zgadzała się z nimi, ale trudno byłoby jej się rozstać z rodzinną pamiątką. Zegarek przecież działał, jak to zawsze podkreślała, a przede wszystkim była do niego przywiązana.

— Martin — szepnęła do zegarka — co to jest Belleza di Adam?

— Zaczekaj chwilę, zaraz ustalę. — W stareńkim głośniczku jego głos ledwo dało się słyszeć.

Po bardzo krótkiej chwili Martin zgłosił się ponownie.

— Chet mówi, że to znaczy Salon Piękności „Adam”. Podobny mamy w Nowym Jorku. Powiedział też, że to jest normalna rzecz. Polletti chodzi tam co kilka dni, żeby ogolić wierzchy dłoni, a potem idzie do baru na lunch, drinka czy coś podobnego.

— Chet wie bardzo dużo — stwierdziła Caroline.

— Faktycznie. Niektórzy nawet sądzą, że za dużo. Ale dlaczego interesuje cię ten salon?

— Bo Polletti właśnie w nim jest. Dotarłam do Klubu Łowcy w momencie, gdy on go opuszczał, i poszłam za nim aż do tego Adama. Ale kobiety chyba nie mają wstępu do salonów piękności dla mężczyzn, prawda?

— Do samego fryzjera rąk, nie. Natomiast bar jest ogólnie dostępny.

— Doskonale. Idę do baru i tam mu się przyjrę.

— Czy jesteś pewna, że powinnaś iść? To znaczy, czy jest to bezwzględnie potrzebne? Mamy szereg pomysłów na sprowadzenie faceta jutro do Koloseum.

— Znam te twoje pomysły i, prawdę mówiąc, nie jestem nimi zachwycona. Sprowadzę Pollettiego sama. A teraz chcę mu się przyjrzeć z bliska. I jeśli to będzie możliwe, porozmawiać.

— Po co?

— Bo w ten sposób jest znacznie przyjemniej. Czyżbyś uważał, że jestem czymś w rodzaju patologicznego mordercy? Lubię wiedzieć kogo mam zabić. To jest cywilizowany sposób załatwiania spraw.

— W porządku, dziecino, to twoje przedstawienie. Ale uważaj, żeby on nie dostał cię pierwszy. Igrasz z ogniem, pamiętaj.

— Pamiętam. Ale igranie z ogniem to prawdziwa frajda.

Caroline wyłączyła swój radio-zegarek i weszła do Belleza di Adam. Przeszła obok działu fryzjerskiego i weszła do baru na tyłach. Od razu odnalazła Pollettiego. Właśnie skończył lunch i teraz rozpierał się wygodnie w fotelu z filiżanką kawy i komiksem.

Caroline usiadła przy sąsiednim stoliku i zamówili potrawkę z glonów morskich *a la Milanese*. Wyjęła papierosa, przegrzebała torebkę w poszukiwaniu zapalek, nie znalazła ich, więc zwróciła się do Pollettiego z delikatnym, zakłopotanym uśmiechem.

— Zdaje się, że nie mam zapalek — powiedziała to bardzo przeprasząco.

— Kelner pani przyniesie — odpowiedział Polletti nie podnosząc wzroku. Chichotał czytając komiks, szybko przerzucał strony, aby się dowiedzieć co dalej, albo niechętnie cofał się, bo musiał sprawdzić wcześniejszy przebieg akcji.

Caroline zmarszczyła czoło. Wiedziała, że marszcząc czoło zawsze wygląda ślicznie. Tak samo ślicznie wyglądała, kiedy nie robiła nic. Ale jej piękno marnowało się dla mężczyzny, który nawet nie chciał podnieść wzroku znad komiksu. Westchnęła cudownie i zauważyła, że każdy stolik miał telefon i wyraźnie widoczny numer. Uśmiechając się złośliwie (a robiła to w sposób zupełnie doskonały), wykręciła numer Pollettiego.

Jego telefon zadzwonił, ale Polletti nie zareagował. Dopiero po chwili zwrócił się bezpośrednio do Caroline:

— Mówiłem pani, że kelner przyniesie zapałki.

— No, właściwie to nie po zapałki dzwoniłam. — Caroline rozkosznie się zaczerwieniła. — Jestem Amerykanką i chciałabym porozmawiać z Włochem.

Polletti zatoczył ręką koło, jakby chciał powiedzieć, że w Rzymie w tej chwili nie brakuje Włochów, i natychmiast wrócił do swojego komiksu.

— Nazywam się Caroline Meredith — przedstawiła się wesoło.

— Tak? — Polletti nie podniósł wzroku.

Caroline nie była przyzwyczajona do takiego traktowania, ale czarująco zacisnęła usteczka i brnęła dalej.

— Czy jest pan dziś wieczorem wolny?

— Dziś wieczorem na pewno będę już martwy — odparł Polletti. Wyciągnął z kieszeni kartę i wręczył ją Caroline, nie odrywając ani na chwilę wzroku od komiksu.

Na karcie widniał napis: UWAŻAJ! JESTEM OFIARĄ! Było to standardowe ostrzeżenie wydrukowane w sześciu językach.

— Och, mój Boże! — wzruszyła się Caroline zachwycająco. — Jest pan Ofiarą, a siedzi pan tu sobie jak każdy inny człowiek! To dowodzi naprawdę wielkiej odwagi.

— I tak nic innego nie mogę zrobić. Nie mam dosyć pieniędzy, żeby zorganizować jakąś obronę.

— Może by pan sprzedał meble? — zasugerowała Caroline.

— Już mi je zabrano, bo nie miałem pieniędzy na raty. — Odwrócił stronę w komiksie i znów zachichotał,

— No, mój Boże, przecież musi być jakaś...

Przerwała na dźwięk nagłego zamieszania. Do baru wpadł drobny facecik ze szczurzą twarzą, przebiegł do tylnej ściany i odwrócił się. Jego wąsiki drgały z przerażenia. Moment później do baru wszedł drugi mężczyzna. Był bardzo chudy i wysoki, a szczupłą, pobliznioną twarz miał wygarbowaną na kolor peruwiańskiego siodła.

Na głowie nosił biały kapelusz z bardzo szerokim rondem, poza tym ubrany był w czarny sznurkowy krawat, kurtkę z kozłej skóry, dzinsy Levisy i buty z wołowej skóry. W otwartych kaburach zwisających nisko z bioder miał luźno wsunięte dwa colty.

— No, Blackie — odezwał się zwodniczo łagodnym głosem — widzę, że wreszcie spotkaliśmy się.

— Tak — potwierdził szczurek. Wąsiki przestały mu się trząść, ale strach nadal wyraźnie wyłąził z jego nieprzyjemnej postaci.

— Widzę również, że tę naszą drobną sprawę załatwimy szybko, i raz na zawsze.

Caroline, Polletti wszyscy pozostali goście baru prędiutko schowali się pod stolikami.

— Duke, nie mamy nic do załatwiania — powiedział szczurek drżącym głosem. — Naprawdę, zupełnie nie warto nic Załatwiać.

— Czyżby? — Duke wyraził swoje zdziwienie łagodnie, ale ta łagodność nikogo nie zwiódła. — Słuchaj, Blackie, może ty i ja uznajemy inne skale wartości. Może jestem trochę staromodny czując urazę tylko dlatego, że moje najlepsze pastwiska zostały przecięte przez linię kolejową, moja najlepsza dziewczyna poślubiła wygadanego, wąsatego bostońskiego bankiera, a moje pieniądze zabrano mi w oszukańczej grze. Ja to widzę w ten sposób, Blackie, i mam szczerzy zamiar coś z tym zrobić.

— Zaczekaj! — zawołał desperacko Blackie. — Wszystko ci wyjaśnię!

— Daruj sobie. Po prostu przyjdź tu, ty pięknie gadający tchórzliwy ważniaku. Stań do walki jak mężczyzna!

— Duke, proszę, ja nawet nie mam broni.

— No to widzę, że będę jedyny, który stanie do walki — odparł bezlitośnie Duke. Jego prawa dłoń zaczęła się zbliżać do olstra. W tym momencie barman zebrał resztki odwagi i krzyknął:

— Nie, nie, pan nie może tego zrobić!

Duke obrócił się do niego i odezwał się z właściwą sobie łagodnością:

— Radziłbym panu trzymać ten długi nos z dala od nie swoich spraw, bo inaczej jakiś zirytowany obywatel może go panu odstrzelić.

— Nie miałem najmniejszego zamiaru wnikać w pańskie sprawy, szanowny panie — wyjaśniał barman.

— Ja tylko chciałem powiedzieć, że w tym barze dokonywanie morderstw jest wzbronione.

— Słuchaj no, kochasiu, jestem pełnoprawnym Łowcą, a ten tu wąsaty szczurzy tchórz jest moją pełnoprawną Ofiarą. Trochę pomogłem losowi, aby tak się stało, ale mam całkowicie legalne papiery, tak że zechciej łaskawie zejść z linii strzału.

— Panie, błagam — z rozpaczą krzyczał barman. — Ja nie kwestionuję pańskich uprawnień.

Już na pierwszy rzut oka jest jasne, że pan ma pełne prawo zabijać. Ale niestety to pomieszczenie zostało zadeklarowane jako niedostępne dla wszelkiego rodzaju zabijania, legalnego czy nie.

— Znowu zostałem nabity w butelkę. Najpierw nie można zabijać w kościele, potem nie pozwalają ci zabijać w restauracji, w końcu fryzjera wyłączają z gry, a teraz jeszcze zwykły bar. Jak tak dalej pójdzie, to równie dobrze będzie można zostać w domu i umrzeć ze starości.

— Myślę, że może jeszcze nie jest aż tak źle — łagodził barman.

— Może jeszcze nie, ale ku temu zmierza. O ile dobrze rozumiem, nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli zastrzelę tego tchórza w tylnej uliczce?

— Szanowny panie, będzie to dla nas wielki zaszczyt

— No, dobrze — zgodził się ponuro Duke. — Blackie, masz teraz chwilę na przesłanie ostatniej wiadomości do swojego Stwórcy... Hej! Gdzie się podział Blackie?

— Wyszedł, gdy pan rozmawiał z barmanem — poinformował Polletti.

Duke strzepnął palcami z obrzydzeniem.

— Ten Blackie to oślizły tchórz, ale ja go i tak złapię, Wybiegł pędem z baru. Wszyscy usiedli na swoich miejscach. Polletti wrócił do komiksu. Caroline znów zaczęła się wpatrywać w Pollettiego. Barman kończył robić podwójne martini.

Na stoliku Pollettiego zadzwonił telefon. Marcello zamachał ręką do Caroline wskazując, aby odebrała. Zadowolona i dumna, że osiągnęła już taki stopień zażyłości ze swoją tajemniczą Ofiarą, Caroline podniosła słuchawkę.

— Halo?... Proszę chwileczkę poczekać. — Chcą rozmawiać z panem Marcello Pollettim. Czy to pan?

Polletti odwrócił ostatnią stronę w komiksie i spytał:

— To mężczyzna czy kobieta?

— Kobieta.

— Więc proszę powiedzieć, że właśnie wyszedłem.

— Niestety on właśnie przed chwilą wyszedł — powiedziała Caroline do słuchawki. — Nie, nie ma go tutaj. Jak to: kłamię? Czemu, na Boga, miałabym kłamać na ten temat?... Co? Jak ja się nazywam? Tak się składa, że to nie pani interes. Jakie jest pani nazwisko?... Co pani mówi?... Żeby panią trafiło ta samo, tyle że zaraz! Żegnam! Co?... Tak, naprawdę. Przed chwilą wyszedł.

Z godnością odwróciła się, żeby odłożyć słuchawkę, ale Pollettiego nie było przy stoliku.

— Gdzie on poszedł? — spytała barmana.

— Przed chwilą wyszedł — brzmiała odpowiedź.

Rozdział 13

Polletti jechał buickiem-olivetti XXV, którego pożyczył od uprzejmego bratanka chłopaka siostry jednego ze swoich przyjaciół. Nienawidził tego samochodu, bo był pomalowany na kolor fuksji, a to zawsze kojarzyło mu się z tyfusem. Był to jednak jedyny samochód, jakim obecnie mógł dysponować.

Trzy kilometry za Rzymem zajechał na stację benzynową, Książęcym gestem kazał nalać do pełna, potem otworzył drzwiczki i wysiadł.

Za sobą usłyszał odgłos ostro hamującego samochodu. Odwrócił się i zobaczył kawowego lotusa wjeżdżającego prosto na niego. Polletti zachwiał się i zdrętwiał jednocześnie, bo nie wiedział, w którą stronę uskoczyć, o ile w ogóle byłby w stanie uskoczyć.

Lotus zatoczył wokół niego idealną pętlę Immelmana i zatrzymał się. Caroline wysiadła, jej piżmowe perfumy przebiły się przez smród rozgrzanej gumy.

— Hej! — powiedziała.

Jest wiele możliwych odpowiedzi na takie powitanie, ale Polletti nie skorzystał z żadnej z nich.

— Czemu pani jechała za mną? — spytał szorstko. — Czego pani ode mnie chce?

Caroline podeszła bliżej. Jej perfumy zaczęły działać na jego zmysły jak partyjski miód. Zauważywszy to, Polletti natychmiast wsiadł do samochodu.

— Może mi pan poświęcić chociaż dwie minuty?

— Nie.

— Jedną minutę?

— Jestem spóźniony. Nie mam czasu. — Zapłacił za benzynę i zapalił silnik.

— Niech pan posłucha...

— Proszę zadzwonić w przyszłym tygodniu.

— To będzie za późno. Jestem w Rzymie, żeby przeprowadzić ankietę na temat seksualnych zwyczajów Włochów. Moja firma jest zainteresowana wszelkimi nietypowymi aspektami...

— Z moich odpowiedzi pani nie będzie miała żadnego pożytku. Jestem typowy.

— Typowe aspekty są jeszcze bardziej interesujące — szybko powiedziała Caroline.

Polletti zamyślił się.

— Interesują nas wysoce zindywidualizowane cechy, oczywiście w określonych granicach — dodała. — Dlatego też chciałabym porozmawiać z panem. Wywiady telewizyjne przeprowadzimy w Koloseum. Zadam panu pytania...

— Właśnie mnie?

Caroline potwierdziła skinieniem głowy.

— Powiedziała pani, że to będzie ankieta.

— Tak, to będzie indywidualna ankieta. Pytania będą dotyczyły wewnętrznych problemów, chcemy uzyskać obraz osobowości człowieka, a nie powierzchowny portrecik.

— W dalszym ciągu zupełnie nie rozumiem, dlaczego do tego wywiadu wybrała pani właśnie mnie.

Caroline uśmiechnęła się i z zażenowaniem spojrzała w ziemię. W jej głosie można było wyczuć nutkę zawstydzenia.

— Bo coś mnie do pana przyciąga. W panu jest coś... Taka nieuchwytna słabość, zwodnicza delikatność...

Polletti uśmiechnął się ze zrozumieniem. Caroline już sięgała do klamki buicka, ale Polletti wrzucił bieg i ostro ruszył z miejsca.

Rozdział 14

Polletti jechał starą nadbrzeżną drogą na północ, do Civitavecchia. Mijał nie kończące się rzędy cyprysów z prawej i kamieniste plaże z lewej. O jego nastroju świadczył wciśnięty do dechy pedał gazu w buicku-olivetti, a także jego mina, która mówiła wyraźnie, że nie ma zamiaru zmniejszać szybkości przed jakimikolwiek przeszkodami, ani ożywionymi, ani nieożywionymi. Fakt, że stary, zdezelowany samochód mógł jechać najwyżej czterdzieści osiem kilometrów na godzinę

czynił postanowienie Polletiego nieco śmiesznym, jednak mimo to było ono szczerze i stanowcze.

W końcu dojechał do odcinka plaży ogrodzonego drucianą siatką. Nad bramą wisiał napis: MIŁOŚNICY ZACHODU SŁOŃCA. Na widok Polletiego podbiegł strażnik i z komicznym wprost szacunkiem otworzył szeroko bramę. Polletti krótko skinął głową i wjechał.

Zatrzymał się przed niewielkim prefabrykowanym domkiem. Za nim znajdowała się trybuna, częściowo wypełniona ludźmi obojga płci w średnim wieku. Dalej już było morze. Tuż nad powierzchnią wody widniała ognistoczerwona tarcza zachodzącego słońca. Polletti spojrzął na zegarek: była szósta czterdzieści trzy, i wszedł do domku.

W środku jego wspólnik, Gino, siedział przy stole i zliczał kolumny liczb.

— Ile tym razem?

— Czternaście tysięcy dwustu trzydziestu trzech płacących. A ponadto pięciu policjantów, dwudziestu trzech harcerzy i sześciu siostrzeńców Vittoria, wszyscy bezpłatnie.

— Powiedz Vittoriowi, żeby już więcej ich nie przysyłał. Nie pracuję tu dla przyjemności. — Polletti ciężko usiadł na taborecie. — Tylko czternaście tysięcy? To zaledwie pokryje czynsz za trybunę.

— Czasy się zmieniły — westchnął Gino. — Pamiętam, jak...

— Daj sobie spokój. Czy sprawdzałeś wszystkich, nie mają broni?

— Oczywiście. Wcale by mi nie było do śmiechu, gdyby cię ktoś ustrzelił w środku roboty.

— Mnie też nie. — Polletti posępnie zapatrzył się przed siebie. Zapadła ciężka, krępująca cisza. Po chwili Gino mruknął:

— Marcello, jest szósta czterdzieści siedem.

— Doprawdy? — rzucił ostro Polletti.

— Zaraz musisz iść. Masz niecałe pięć minut. Jak się czujesz?

Pollettiemu nie chciało się szukać słów na określenie swego stanu, więc po prostu paskudnie się wykrzywił.

— Wiem, wiem — powiedział łagodząco Gino. — Zawsze się tak czujesz, a specjalnie przed wyjściem. Ale damy sobie radę z tymi zbędnymi i nieprzyjemnymi uczuciami. Połknij to.

Wręczył Pollettiemu szklankę wody i małą, czerwoną pigułkę kształtu rzęśniczki. Z długiego doświadczenia Polletti wiedział, że to limnium, jeden z nowych narkotyków, wzmacniający tak zwany „ekspansywny” czynnik w ludzkiej psychice.

— Nie chcę tego — powiedział i połknął pastylkę. A potem, zrezygnowany, zażył gneia-IIa, pigułkę w biało-purpurowe paski, w kształcie tygrysa, wytwarzaną przez I. J. Farben. Był to zmodyfikowany ostatnio wyzwalacz charyzmy. Potem przysłała złota kulka firmy Dharmoid, środek redukujący ostrość percepcji, wynaleziony przez Hyderabad Laboratories, następnie starannie zsynchronizowana ampułka lacrimonium w kształcie łyzy, i na końcu kapsułka hyperbendexu w kształcie wilka, najnowszy wzmacniacz energii psychicznej.

— Jak się teraz czujesz?

— Dam sobie radę. — Polletti wytarł usta i spojrzał na zegarek. Ponieważ te wszystkie środki zaczynały już powoli działać, energicznie wstał z taboretu i podszedł do toaletki stojącej w kącie. Zdjął ubranie i włożył szatę kapłana. Była to prosta biała koszula ze sztucznego włókna. Na szyi zawiesił imitację słonecznej tarczy Majów, wykonaną ze sztucznego brązu, a na swoje ciemne włosy włożył blond perukę z kręconych włosów.

— Jak wyglądam? — zawołał.

— Wspaniale, Marcello, naprawdę wspaniale. W istocie wyglądasz dziś tak wspaniale, jak nigdy dotąd!

— Mówisz serio?

— Przysięgam na wszystko, że to prawda. — Gino mówił to za każdym razem. Spojrzał na zegarek. — Już niecała minuta. Marcello, idź do nich i daj im to, czego pragną.

— Myślę, że dziś będę doskonały — powiedział Polletti i w wielkim stylu wyszedł na dwór. Gino przyglądał mu się przez chwilę. Poczul, że ze wzruszenia drapie go w gardle. Był świadkiem prawdziwego przedstawienia, ale równocześnie czuł, że nadchodzi atak niestrawności.

* * *

Polletti szedł z wielką godnością, aby stanąć przed swoim audytorium. Twarz miał spokojną, krok równy. Za nim i wokół niego rozlegały się słodkie tony „O sole mio”, rozchodzące się w pełnej oczekiwania ciszy.

Droga prowadziła obok usychających cyprysów, nad którymi nie śpiewał żaden ptak. Z tyłu znajdował się czerwony pulpit Polletti stanął za nim, ustawił mikrofon, popatrzył na słuchaczy i zaczął swoją mowę.

— Dziś, gdy u schyłku dnia, tak samo jak co dzień i zawsze na nowo, zmierzch opada na naszą śmiertelną słabość, z którą idziemy przez targane sztormami wody wieczności, nasze myśli zdążają...

Słuchacze pochylili się ku niemu w oczekiwaniu. Polletti zobaczył Caroline uśmiechającą się do niego z pierwszego rzędu. Zamrugał raz, drugi, i odzyskał panowanie nad sobą,

— Te ostatnie promienie słońca, które teraz umiera, ale jutro znów się odrodzi, biegną do nas z odległości stu czterdziestu dziewięciu i pół miliona kilometrów. Jakie wnioski możemy z tego

wyciągnąć? Ta odległość jest nadprzyrodzona, niezmierna i nielogiczna, nieubłagana i równocześnie nierealna. Bo przecież nasz ognisty ojciec, nasze słońce, codziennie do nas wraca.

— Zawsze wraca! — zabrzmiały tysiące głosów.

Polletti uśmiechnął się smutno.

— A kiedy powróci... czy my będziemy jeszcze tutaj, aby się kąpać w jego życiodajnych promieniach?

— Kto to może wiedzieć? — odpowiedzieli słuchacze tak, jakby recytowali litanie.

— No właśnie, kto? — Polletti odpowiedział pytaniem na pytanie. — Możemy się pocieszać myślą, że nasz drogi ojciec w istocie nie zniknął całkowicie, że nawet teraz po prostu spieszy do Los Angeles.

Słońce skryło się za morskimi falami. Prawie wszyscy płakali, tylko niewielka grupka osób nie poddała się uczuciom i dyskutowała o różnych aspektach doktryny solarnego pokrewieństwa. Nawet Caroline sprawiała wrażenie poruszonej. Polletti, dochodząc do końcowej części przemowy, którą wygłosił w klasycznej grece, miał twarz skąpaną we łzach.

Było już zupełnie ciemno. Żegnany wiwatami i przekleństwami, Polletti zszedł ze sceny.

W mroku ktoś wziął go za rękę. Była to Caroline. Łzy strumieniem spływały z jej oczu.

— Marcello, to było cudowne!

— Mam wrażenie, że wszystko poszło dobrze, jeśli tylko ktoś lubi zachody słońca — przyznał Polletti, lejąc łzy.

— A ty nie lubisz?

— Niespecjalnie. To jest po prostu słoneczny biznes.

— Ale przecież płakałeś!

— To wynik działania odpowiednich środków medycznych — wyjaśnił, wycierając oczy. — Zaraz przejdzie. W tej robocie trzeba okazywać przesadne uczucia. Jeśli się nic nie czuje, bywa trudno. Ale oczywiście to tylko praca.

— Jaki jest ten słoneczny biznes?

— Kiedyś było lepiej. Ale w dzisiejszych czasach... — Przerwał i spojrzał na nią. — Czemu pytasz? To ciekawość, czy ankieta?

— Sądzę, że i to, i to.

— Czy w dalszym ciągu chcesz przeprowadzić ze mną ten wywiad? — spytał ostro.

— Oczywiście, że tak.

— W porządku. Udzielę ci go. Naturalnie za odpowiednią zapłatę.

— Powiedzmy trzysta dolarów — zasugerowała Caroline.

Polletti spojrzał obojętnie i ruszył do swojego domku. Caroline poszła za nim.

— Pięćset?

Polletti nie przestawał iść. Z nutką desperacji Caroline zaoferowała tysiąc dolarów. Polletti zatrzymał się.

— Jak długo to będzie trwało? ,

— Godzinę, najwyżej dwie.

— Kiedy?

— Jutro rano, o ósmej w Koloseum.

— Dobrze. Sądzę, że będę miał czas. Ale może dla pewności daj mi zaliczkę.

Oszołomiona Caroline otworzyła torebkę, wyjęła banknot pięćsetdolarowy i wręczyła go Pollettiemu. Ten zdjął perukę i otworzył suwak małej kieszonki w podszewce. Schował banknot, zamknął kieszeń suwakiem i powiedział:

— Dziękuję. Do zobaczenia — i spokojnie wszedł do domku.

Rozdział 15

Polletti przebrał się w zwykłe ubranie, usiadł i przez dziesięć minut oglądał swój prawy palec wskazujący. Nigdy dotąd nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest on o pełne dwa centymetry dłuższy niż czwarty. Odkrycie tej anomalii, która w innym czasie mogła stanowić powód pewnego rozbawienia, obecnie tylko go rozżłościło. A złość pogłębiała z kolei depresję i stwarzała w jego wyobraźni obrazy gilotynki do obcinania palców, siekiery z poszarpanym ostrzem, jataganów, pokrwawionych żyłek...

Potrząsnął mocno głową, zebrał się w sobie i połknął sporą dozę infradexu, narkotyku

przeznaczonego do łagodzenia reakcji organizmu na wcześniej wzięte narkotyki. Po paru sekundach był już w swoim normalnym depresyjnym nastroju. To mu poprawiło samopoczucie. Wyszedł z domku, znajdując się już prawie na krawędzi równowagi.

Na zewnątrz, w mroku, poczuł na rękawie jakiś dotyk. Wykazując się błyskawicznym refleksem obrócił się i wykonał Obronny Manewr nr Trzy, Część Pierwsza. Równocześnie jego prawa ręka wystrzeliła jak atakujący wąż w kierunku pistoletu znajdującego się w ukrytej kaburze. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności potknął się o korzeń cyprysu. Ręka minęła rękojeść pistoletu w odległości jednego i sześciu dziesiątych centymetra, w związku z czym jedynie rozerwał marynarkę, kiedy ciężko padał na ziemię.

Tak to jest, pomyślał. Jeden moment nieuwagi i długo oczekiwana śmierć przychodzi w końcu... niespodziewanie! W tej przerażającej chwili, rozciągnięty bezradnie na obojętnej ziemi, Polletti zdał sobie sprawę, że człowiek faktycznie może być nie przygotowany na swoją własną śmierć. Śmierć ma zbyt dużo doświadczenia w łapaniu ludzi w chwili nieuwagi, w pozbawianiu ich pewności siebie i dziurawieniu balonu ich pychy.

Jedyne co pozostawało, to umrzeć z godnością. Dlatego też otarł ziemię z ust, przełknął nie wypowiedziane przekleństwo i uśmiechnął się z autoironią.

— Mój Boże, nie miałam zamiaru cię przestraszyć. Czy jesteś ranny?

— Nic mi się nie stało, oprócz tego, że uszczerbku doznał mój szacunek dla samego siebie — odpowiedział Polletti wstając i otrzepując ubranie. — Nie powinnaś tak niespodziewanie wpadać na Ofiarę. To mogłoby się skończyć twoją śmiercią.

— Chyba tak — odparła Caroline — jeśli potrafiłbyś wyciągnąć pistolet nie potykając się. Chyba jesteś dość niezdarne.

— Tylko kiedy stracę równowagę — odparł z godnością. — Może zechciałabyś mi powiedzieć, dlaczego wciąż tu krążysz?

— To trochę trudno wyjaśnić.

— Widzę — zgodził się Polletti z cynicznym uśmiechem.

— Nie, to nie to, co myślisz.

— Oczywiście, że nie. — Uśmiech stał się jeszcze bardziej cyniczny.

— Ja po prostu chcę z tobą porozmawiać.

Polletti pokręcił głową z ironią, uśmiechnął się już w pełni cynicznie a potem, ponieważ jednak nienawidził ekstremalnych zachowań, wzruszył lekko ramionami i zdecydowanym tonem powiedział:

— Trudno. Niech będzie. Możemy porozmawiać.

Doszli nad sam brzeg i szli wzdłuż długiej, srebrnoszarej plaży, oświetlonej sierpem księżycy. Za nimi niebo na wschodzie było niebiesko-czarne. Wyglądało to tak, jakby ktoś nabił wielkiego siniaka na jego miękkim, białawym podbrzuszu. Od zachodu blednąca luna gasnącego słońca malowała purpurą stalowe fale Morza Tyrreńskiego. Na ciemnym niebie południa migotały już pierwsze gwiazdy.

— Jakie piękne są te gwiazdy — Caroline powiedziała to z niezwykłą dla niej nieśmiałością. — A już najbardziej ta mała śmieszna, tu z lewej.

— To Ypsilon Cefeusza — wyjaśnił Polletti. — To podwójna gwiazda. Jej główny składnik należy do typu B, czyli na powierzchni temperatura wynosi około piętnastu milionów stopni.

— Nie wiedziałam tego. — Caroline usiadła na ubitym przez fale piasku.

— Na powierzchni mniejszego towarzysza Cefeusza temperatura dochodzi tylko do około sześciu milionów stopni. — Mówiąc to, Polletti usiadł obok Caroline.

— To smutne, na swój sposób.

— Tak, sądzę, że tak, na swój sposób. — Polletti czuł dziwną lekkość w sercu. Być może dlatego, że gwiazda, którą z taką pewnością zidentyfikował jako Ypsilon Cefeusza, była w rzeczywistości Betą Perseusza, znaną również jako Algol, Gwiazda Demon, której czarodziejski wpływ na niektóre temperamenty jest zbyt dobrze znany, żeby o tym tutaj opowiadać.

— Gwiazdy są ładne.

Takie stwierdzenie Polletti zawsze uważał za banalne, ale teraz zabrzmiało sympatycznie.

— Tak, są ładne — przyznał. — To znaczy, że przyjemnie jest mieć je tutaj co wieczór.

— Bardzo przyjemnie — potwierdziła Caroline.

— Naprawdę przyjemnie — zgodził się Polletti, ale zaraz się opanował. — Słuchaj, nie przyszliśmy tutaj dyskutować o gwiazdach. O czym chciałaś porozmawiać?

Caroline nie odpowiedziała od razu. W zamyśleniu patrzyła w dal, na morze. Fale blond włosów opadały przez jej policzek, łagodząc i podkreślając wytworny zarys twarzy. Z rozmarzeniem uniosła dłoń pełną piasku i pozwoliła mu się wysypywać przez długie, szczupłe palce. Polletti, twardy cynik, poczuł irracjonalny przypływ uczuć, przenikający do samego dna jego jestestwa. Nie wiadomo dlaczego przypomniał sobie nagłe niewielki domek kryty strzechą na wzgórzach Perugii i pulchną, siwą, uśmiechniętą kobietę stojącą z glinianym dzbanem w ręce, w drzwiach oplecionych winoroślą. Tę matczyną postać widział tylko raz, na zdjęciu, które przesłał mu Vittorio. Wówczas to zdjęcie nie zainteresowało go, ale dziś...

Caroline obróciła się twarzą do mego. W jej wielkich fiołkowych oczach odbijały się ostatnie różowe błyski łuny zachodzącego słońca. Polletti zadrzał, chociaż tu, nad morzem, temperatura wynosiła dwadzieścia sześć stopni, a z południowego zachodu wiała duszna, gorąca bryza.

— Chciałabym, żebyś mi opowiedział o sobie.

— O sobie? Jestem zupełnie przeciętnym mężczyzną i żyję w najbardziej zwyczajny sposób — odparł rozbawiony.

— Chcę. posłuchać o tobie — nalegała Caroline.

— Kiedy naprawdę nie ma o czym opowiadać — cierpliwie wyjaśniał Polletti, ale po chwili zorientował się, że jednak opowiada o sobie. O dzieciństwie, o pierwszych chłopięcych doświadczeniach w morderstwach i w seksie. O bierzmowaniu, o dniach młodości, o swoim zaślepieniu pogodną i optymistyczną Lidią, zaślepieniu, które po ślubie zmieniło się w rosnące znudzenie. O spotkaniu i życiu z Olgą, której gorączkowa dzikość wynikała raczej z wrodzonej niestabilności psychicznej niż z namiętności i niezależnego charakteru, o czym przekonał się za późno.

Caroline zorientowała się od razu, że w życiu Pollettiego były tylko gorzkie wspomnienia krótkich radości, a to prowadzi do rozgoryczenia i obojętności. Rozkosz, która w młodości wydawała się jedyna w swoim rodzaju i nieosiągalna, po spełnieniu okazywała się nudna i nie wnosząca nic nowego. Z powodu tych ponurych doświadczeń uwikłał się w cywilizowany, szary kokon nudy, który, jak mówią niektórzy, jest odwrotną stroną zewnętrznego okrycia srokatego konia nadziei. To było smutne, ale z całą pewnością nie nieodwracalne.

— I to już wszystko — Polletti powiedział to z lekkim zawstydzeniem. Zorientował się, że gadał jak młodziak pod wpływem księżyca. Ale natychmiast wmówił sobie, że to, co Caroline o nim pomyśli, nie ma najmniejszego znaczenia, i że nic go to nie obchodzi

Caroline w milczeniu podniosła na niego wzrok. Jej twarz, ukryta w ciemności, wydawała się tajemnicza, włosy w świetle gwiazd wyglądały jak aureola. Lekko pochyliła się ku niemu; piękny zarys jej ciała i prawie niewidoczne oblicze były raczej archetypem kobiecości niż konkretną kobietą. Z całą pewnością była piękna, ale mrok czynił ją znacznie piękniejszą, przynajmniej w wyobraźni Marcella.

Poruszył się niespokojnie. Napomniął się, że ludzie rozgoryczeni często skłaniają się ku romantycznym mitom. Zapalił papierosa i powiedział:

— Chodźmy stąd. Może pójdziemy gdzieś na drinka.

Jego obojętny głos miał położyć kres urokowi. Ale nie udało mu się, może zadziałał Algol, w dalszym ciągu błyszczący na południowym niebie. Szeptem zaledwie głośniejszym niż cichutki szmer fal, Caroline wyznała:

— Marcello, ja chyba cię kocham.

— Nie bądź śmieszna. — Polletti próbował irytacją stłumić nadchodzące uczucie ekstazy.

— Naprawdę cię kocham.

— Daj spokój. Ta scena na plaży jest bardzo przyjemna, ale nie dajmy się jej ponieść.

— Czyli, ty też mnie kochasz?

— To nieważne. W tej chwili mogę powiedzieć wszystko i wierzyć w to... ale tylko przez chwilę. Caroline, miłość jest wspaniałą zabawą, która zaczyna się radośnie, a kończy małżeństwem.

— Czy to jest takie złe?

— Według moich doświadczeń, tak, naprawdę bardzo złe. Małżeństwo zabija miłość. Nigdy cię nie poślubię. Nigdy nie poślubię nikogo więcej. Całą tę instytucję małżeństwa uważam za farsę, parodię ludzkich stosunków, fałszywy trik z lusterkiem, absurdalną pułapkę na samego siebie...

— Dlaczego musisz mówić tak dużo?

— Jestem gadatliwy z natury — odparł Polletti i nagle poczuł, że wzięcie Caroline w ramiona też byłoby zupełnie zgodne z naturą. — Bardzo cię Kocham — szepnął. — Caroline, uwielbiam cię wbrew wszelkim moim instynktom.

Pocałował ją, czule za pierwszym razem, a potem z rosnącą namiętnością. Poczul, że naprawdę ją kocha. To go zdziwiło, wypełniło rozkoszą i zasmuciło. Miłość, jak wiedział, jest odchyleniem od normalności, rodzajem chwilowej choroby, krótkotrwałym stadium autosugestii.

Miłość jest stanem, który rozsądny mężczyzna powinien ostrożnie omijać. Ale Marcello nigdy nie uważał się za rozsądnego, a ostrożność nie figurowała na liście jego zalet. Bezwstydnie pobłażał sobie, co samo w sobie było pewną odmianą rozsądku. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Rozdział 16

Koloseum panowała głęboka noc, czarna i bezlitosna, okrywająca tę starożytną budowlę jak całun. Jej przerażającą nienaruszalność przerywało jedynie kilka łukowych reflektorów.

W dole, na opitym krwią piasku, kamerzyści stali przy swoich kamerach. Na specjalnej platformie, ustawionej na lewo od środka, Roy Bell Dancers odpoczywali po ostatniej próbie i zastanawiali się, jak uchronić końce włosów przed rozdzielaniem się. Niedaleko nich, w samochodzie kempingowym wypełnionym urządzeniami kontrolno-pomiarowymi, siedział Martin. Dokonywał ostatniej korekty rozstawienia kamer. Jakiś czas temu przeniósł się z sali balowej do tego nowego stanowiska dowodzenia. W zębach zaciskał cienkie czarne cygaro, od czasu do czasu wycierał ręką łzawiące oczy.

Chet siedział po drugiej stronie samochodu, przy małym stolyczku z rozłożonymi kartami. Fakt, że stawiał pasjansa, świadczył o napięciu nerwowym, w jakim się znajdował.

Cole siedział tuż obok Cheta. Drzemał, podrygując czasami nerwowo na krześle, co też świadczyło o jego napięciu nerwowym. Nagle podniósł się, potarł podkrążone oczy i zapytał:

— Gdzie ona jest? Czemu się nie odzywa?

— Spokojnie, kolego — mruknął Martin nie podnosząc wzroku. To, że jakby pod przymusem sprawdzał ustawienie kamer po raz już chyba setny, jednoznacznie wskazywało, że i on nie był uodporniony na nerwowość innych, mniej ważnych ludzi.

— Ale już powinna się odezwać. Nie sądzisz...

— Nic nie sądzę — przerwał Martin i polecił cofnąć kamerę numer trzy o cztery centymetry.

— Czarna dziesiątka na czerwonego waleta — podpowiedział Cole Chetowi.

— Lepiej trzymaj nos z dala od moich osobistych spraw. — Chet odezwał się łagodnie, jednak z wyczuwalną nutą wściekłości.

— Spokojnie, chłopaki — poprosił miękko Martin. Jako naturalny przywódca wiedział instynktownie, że teraz trzeba podtrzymać ich na duchu, a nie wydawać ostre komendy. Beznamiętnie kazał pochylić w dół kamerę numer pięć o jeden i trzy czwarte stopnia.

— Ale powinna się już była zgłosić! — nie ustępował Cole. — Nie odezwała się odkąd pojechała na Plażę Zachodzącego Słońca. To już sześć czy siedem godzin temu! Nie odpowiada na nasze wezwania. Wszystko mogło się zdarzyć... Wszystko! Mówię ci! Czy uważasz...

— Weź się w garść — zimno powiedział Martin.

— Przepraszam. — Cole przykrył bladą twarz drżącymi rękami i zaczął trzeć piekące oczy. — Trudno mi znieść to napięcie i czekanie... Zaraz się opanuję. Nie zawiodę was, gdy już coś się zacznie dziać.

— Oczywiście, że nie — zapewnił go Martin. — To czekanie wszystkim nam się daje we znaki. — Złapał za mikrofon i warknął: — Utrzymuj takie nachylenie kamery numer pięć i cofnij się dokładnie o dwanaście milimetrów i, do jasnej cholery, trzymaj wąski plan!

— Czerwona dwójka na czarną trójkę — podpowiedział Chetowi Cole.

Chet zachował milczenie, ale postanowił zabić Cole'a natychmiast po tym, jak doprowadzi do wywalenia Martina z roboty. Postanowił zabić również pana Fortinbrasa i Caroline, oraz swojego szwagra w Kansas City, Missouri, który zawsze, niezmiennie, pozdrawiał go radosnym: „Jak leci twórcy wizerunków?”, a także...

Drzwi samochodu otworzyły się, i weszła Caroline.

— Cześć, chłopaki — powitała ich serdecznie.

— Cześć, dziecino — odpowiedział Martin spokojnie. — Jak poszło?

— Gładko jak po akrylu. Złapałam go podstępem i potem rozmawiałam z nim tak długo, aż się zgodził na wywiad jutro rano.

— Miałaś trudności?

— Żadnych. Dał się przekonać bez wielkiego namawiania. Podszedł do tego jak do interesu. Pięćset z góry, pięćset rano, przed rozpoczęciem wywiadu.

— Wspaniale, doskonale, dobrze. Ale co robiłaś potem? Minęło już pięć godzin od chwili, kiedy miałaś przekazać następną wiadomość i bardzo się o ciebie niepokoiłiśmy.

— Tak. Już miałam wyjeżdżać, ale zdecydowałam, że może powinnam go poznać trochę dokładniej. Więc wróciłam i zaprosiłam go na drinka, a potem poszliśmy na tę miłą plażę i rozmawialiśmy, i oglądaliśmy gwiazdy.

— To miło. — Martin uśmiechnął się, ale w kąciaku lewego oka zadrgał mu nerwowy tik. — No i jak go oceniasz?

— To wspaniały człowiek — z rozmarzeniem powiedziała Caroline. — Wiesz co? On próbował od dwunastu lat unieważnić swoje małżeństwo i przez cały ten czas żył z tą szaloną kobietą, Olgą. I teraz, kiedy wreszcie dostał unieważnienie, wcale nie chce poślubić Olgi.

— To bardzo ciekawe.

— Faktycznie, to on nie chce poślubić nikogo. Nawet mnie.

Chet ruszył się tak gwałtownie, że zrzucił karty.

— Hej, jak mamy to rozumieć?

— Wydaje mi się, że możecie to nazywać na przykład miłością.

— Co ty rozumiesz przez: „miłością”? — spytał Chet — Twój kontrakt wyraźnie zabrania ci zakochać się w czasie trwania dziesiątego zabójstwa, a zwłaszcza wyraźnie zabrania ci zakochać się w twojej Ofierze.

— Miłość istniała o wiele wcześniej niż kontrakty — wyjaśniła zimno Caroline.

— Kontrakty mają dużo większą siłę oddziaływania niż miłość — złośliwie zauważył Martin. — Ale słuchaj, dziecino, chyba nie masz zamiaru wystawić nas do wiatru?

— Chyba nie. Powiedział, że też mnie kocha... Ale jeżeli nie zechce mnie poślubić, sądzę, że lepiej będzie, jeśli umrze.

— I o to chodzi Tylko nie zapomnij o tym, dobrze, dziecko? — Nie mam zamiaru. Ale czy sądzisz...

— Ja nic nie sadzę. Słuchajcie, teraz wszyscy pójdziemy przymknąć trochę oczka, aby czuć się świeżo i miło podczas porannego zabójstwa. W porządku?

Wszyscy się zgodzili. Martin wydał jeszcze kilka dalszych rozkazów i światła powoli gasły. Kamerzyści i tancerze wyszli. Jako ostatni opuścili Koloseum Martin, Chet, Cole i Caroline. Wsiadli do wypożyczonego przez Martina roadrunnera XXV i odjechali do hotelu.

* * *

Nad Koloseum rozciągała się czarna, nieprzenikniona, posepna noc. Tylko od czasu do czasu rozjaśniało ją światło rzucone przez rogalik wyglądającego zza chmur księżycy. Ze starożytnych kamieni emanowała śmiertelna cisza, a przecucie bliskiej śmierci otaczało arenę jak miazmaty unoszące się z piasku przesiąkniętego krwią.

Polletti wyszedł z cienia arkady. Był poważny i zły. Za nim szedł Gino.

— No i co? — spytał Polletti.

— Jasna sprawa. Ona jest twoją Łowczynią. Nie ma tu miejsca na wątpliwości.

— Tak, to jasne. Byłem już tego pewien, kiedy pojechała za mną aż na plażę. A tutaj mamy potwierdzenie. Wielkie zabójstwo z krzykliwą reklamą... w amerykańskim stylu!

— Słyszałem, że tak to robili ostatnio w Mediolanie. No i oczywiście niemieccy Łowcy, szczególnie w Zagłębiu Ruhry...

— Wiesz, co mi powiedziała dziś wieczorem? Powiedziała, że mnie kocha. A przecież cały czas miała zamiar mnie zabić.

— Wszyscy wiedzą, że kobiety to zdradzieckie stworzenia. Jak zareagowałeś?

— Oczywiście wyznałem, że też ją kocham.

— A może rzeczywiście tak jest?

Polletti myślał dłuższy czas, zanim zdobył się na odpowiedź.

— To dziwne, ale ona jest urocza, miła, a w pewnych sprawach nawet nieśmiała.

— Zabiła dziewięciu mężczyzn — przypomniał mu Gino.

— Tego nie możesz jej mieć za złe. To po prostu wytwór dzisiejszych czasów.

— Może masz rację. Więc co zrobisz?

— Wykonam kontrabójstwo dokładnie tak, jak planowałem. Martwi mnie tylko, czy Vittorio zdołał zorganizować jakąś reklamę.

— Nie dałeś mu zbyt wiele informacji.

— Nie szkodzi. Z tym, co już ma, powinien bez trudu zdobyć jednego czy dwu sponsorów.

— Prawdopodobnie coś zorganizuje — zgodził się Gino. — Ale, Marcello, co będzie, jeśli ona zacznie podejrzewać że się zorientowałaś? Caroline ma za sobą potężną organizację, pieniądze, wpływy... Może powinieneś po prostu zabić ją przy pierwszej okazji i nie kusić losu?

Polletti wyjął pistolet z wewnętrznej kieszeni marynarki, sprawdził pociski i włożył go na miejsce.

— Nie martw się. Rano, o dziewiątej, Caroline przyjedzie, żeby zabrać mnie na wywiad. Na pewno nie podejrzewa, że wiem, kim jest.

— A jeżeli? — martwił się Gino nadal. — Kobiety to zdradzieckie stworzenia.

— Tak, mówiłeś to. Ale w takim razie mężczyźni są też zdradzieckimi stworzeniami. Działam dalej tak, jak zaplanowałem wcześniej. Chciałbym tylko, żeby ona była trochę mniej urocza.

— To właśnie nasza miłość do kobiet wystawia nas na ich zdradliwość.

— Chyba tak — zgodził się Polletti. — W każdym razie wracam teraz na plażę. Muszę się trochę przespać. Natomiast ty upewnij się, że Vittorio zajmuje się przygotowaniami.

— Dobrze, Marcello. Dobrej nocy i... szczęścia.

— Dobranoc.

Wyszli. Marcello wrócił do samochodu i pojechał na plażę, a Gino poszedł do najbliższej całonocnej kawiarni.

Koloseum wreszcie było całkiem puste. Księżyc zniknął i zapanowała absolutna ciemność. Z ziemi podniosła się delikatna mgiełka, w której przezroczyste postacie sunęły po piasku w szalonym morderczym tańcu, jak duchy dawno zmarłych gladiatorów. Lekki wietrzyk przemykał po pustych trybunach. Można było odnieść wrażenie, że słyhać zmarłego wieki temu cesarza, który szepce: „dobić”. A potem, w niepewnej poświacie na wschodzie, dały się zauważyć pierwsze promienie słońca.

Zaczął się nowy dzień. Ciekawe, co przyniesie.

Rozdział 17

W swoim prefabrykowanym domku Marcello spał głębokim, spokojnym snem. Nie słyszał cichego stuknięcia zamka ani skrzypienia zawiasów. Nie widział długiej, dziwnej lufy, wsuniętej przez lekko uchylone drzwi.

Lufa została wycelowana w jego głowę. Rozległ się delikatny syk i wydostał się z niej ledwo widoczny obłoczek gazu. Chwilę później Polletti spał jeszcze głębszym snem. Lufa zniknęła.

Przez kilka sekund nic się nie działo. Potem drzwi otworzyły się do końca i do domku weszła Caroline. Dotknęła lekko ramienia Pollettiego, a potem mocno nim potrząsnęła. Polletti ani drgnął. Caroline podeszła do drzwi i pomachała ręką. Potem zamknęła drzwi, wróciła do Pollettiego i siadła obok niego na łóżku.

Domkiem targnęły wstrząsy. Nagłe pochylił się na bok i Caroline musiała mocno przytrzymać Pollettiego, by nie stoczył się z łóżka na podłogę. Po chwili domek przestał się pochyłać, ale nadal drżał.

Polletti spał. Caroline podeszła do drzwi i ostrożnie je otworzyła. Za drzwiami widać było przesuwające się ulice Rzymu. Normalnie taki widok ogromnie by ją zdziwił, wiedziała jednak, że domek razem z nią i Pollettim w środku, został wstawiony na platformę ciężarówki, którą Martin osobiście prowadził teraz do Koloseum. Była godzina ósma, minut czterdzieści sześć. Caroline przeszukała starannie domek, zwracając uwagę również na drobiazgi, a potem usiadła z powrotem obok Pollettiego.

* * *

Mniej więcej pół godziny później Polletti poruszył się, potarł oczy i usiadł.

— Która godzina? — spytał Caroline.

— Dziewięta dwadzieścia dwie.

— Chyba mocno zasnęłam.

— Nie szkodzi.

— Ale mamy jeszcze czas na próbę?

— Na pewno damy sobie radę bez niej — uspokoiła go. Twarz miała zaciętą i mówiła wolno, bez nacisku. Odwróciła się od niego i zaczęła robić makijaż przy pomocy małego podręcznego zestawu.

Polletti ziewnął i sięgnął do telefonu, ale zorientował się, że drut jest odcięty. Caroline

patrzyła na niego w lusterku swojej puderniczki. Polletti, nadzwyczaj spokojny, wstał z łóżka i sięgnął po marynarkę wiszącą na krześle. Wyciągnął zapalniczki i papierosy, a potem pomacał wewnętrzną kieszeń. Pistolet zniknął.

Zapalił papierosa i uśmiechnął się miło do Caroline. Gdy nie odwzajemniła uśmiechu, siadł na łóżku, zaciągnął się głęboko papierosem, a potem pochylił się i podniósł z podłogi swoją elektroniczną małpkę. Pobawił się nią przez chwilę, po czym sprężystym ruchem wstał z łóżka, przebrał się w dres i znów się położył, ciągle trzymając małpkę.

Caroline ani razu nie odwróciła się, aby popatrzeć na niego, jednak cały czas obserwowała go w lusterku.

— Wiesz o czym teraz myślę? — spytał, leżąc wygodnie. — Czemu nie mielibyśmy sobie gdzieś razem pojechać... tylko my dwoje. Moglibyśmy mieć wspaniałe życie. Moglibyśmy nawet pobrać się, jeśli uważasz to za absolutnie niezbędne.

Caroline zamknęła puderniczkę i odwróciła się do niego twarzą. Trzymała puderniczkę tak, że jeden palec leżał na zawiasie, z tyłu. Z całą pewnością to jest broń, pomyślał Polletti. W dzisiejszych czasach trudno znaleźć coś, co nie jest bronią.

— Nie interesuje cię moja propozycja?

— Nie interesują mnie twoje kłamstwa — odparła Caroline.

Polletti bawił się elektroniczną małpką.

— Może masz rację. Przez całe życie za dużo kłamałem i oszukiwałem. Jednak zapewniam cię, że z natury nie jestem kłamcą. Po prostu tak się złożyło. Z tobą chcę być szczerzy. Potrafię mówić prawdę. Być może, będę mógł nawet dowieść ci mojej szczerości.

Caroline potrząsnęła głową,

— Już jest za późno.

— Wcale nie. Mam przyjaciół, którzy za mnie zaręczą. Na przykład... — podniósł małpkę — czy poznałaś już Tommasa?

— To właśnie jest charakterystyczne dla ciebie. Co to za świadek?

— Tommaso jest bardzo uczciwą bestyjką. — Postawił go na podłodze i obrócił twarzą do Caroline. Elektroniczna małpka podeszła do niej i próbowała się wspiąć na jej nogę.

— Jego świadectwo mnie nie interesuje.

— Ależ to nieuczciwe. Popatrz, jak serdecznie się do ciebie odnosi. Myślę, że cię lubi. Tommaso jest bardzo wybredny jeśli chodzi o przyjaciół.

Caroline uśmiechnęła się z widocznym wysiłkiem, uniosła małpkę i posadziła sobie na kolanie.

— Pogłaszcz go — zaproponował Polletti. — I możesz go pacnąć lekko w nos. Bardzo to lubi.

Caroline uniosła małpkę i lekko pacnęła ją w nos.

W tym momencie elektroniczny zwierzak przestał się ruszać. Jednocześnie na jego piersi otworzyła się klapka. Wewnątrz małpki schowany był rewolwer dużego kalibru.

— Czy wiedziałeś o tym?

— Oczywiście. Tak samo jak wiem o tobie... że jesteś moją Łowczynią.

Caroline patrzyła na niego. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

— Ten rewolwer jest dowodem mojej szczerości. Jest dowodem, że chcę z tobą żyć... a nie zabić ciebie.

Caroline zagryzła wargi, jej twarz stężała, a palce zacisnęły się na rękojeści rewolweru wewnątrz elektronicznej małpki.

Właśnie w tej chwili ściany domku zaczęły się trząść i po chwili uniosły się powoli w powietrze. Caroline nawet nie zwróciła uwagi na to niezwykle zjawisko, jej oczy ani na moment nie odwracały się od twarzy Marcella. Natomiast on z wyraźną przyjemnością patrzył na unoszące się powolutku ściany.

— Caroline, cudowny widok, absolutnie wspaniały.

Dach domku odsunął się całkowicie. Polletti widział grube mury i gruby kabel nylorex, zwisający z helikoptera w barwach czerwono-biało-beżowych (symbolizujących UUU Teleplex Ampwork). A wokół niego, warstwa na murszejącej warstwie, wznosiły się zwarte, białe mury Koloseum.

Kamery przesuwwały się, ujeżdżane przez facetów w baseballowych czapczkach. Mikrofony tańczyły nad głową Marcella jak kiście surrealistycznych bananów. Roy Bell Dancers otrzymali sygnał gotowości do występu. Czerwone światła migąły jak hipnotyzujące oczy cyklopa. Słysząc było głos Martina rzucającego rozkazy w tak technicznym żargonie, że tylko Chet je rozumiał i przekazywał tłumaczenie do właściwych wykonawców.

Polletti oglądał to przedstawienie wewnątrz przedstawienia. Sprawiało wrażenie czegoś nieprawdopodobnego, a jednak wiedział, że to się dzieje naprawdę. Odwrócił się do Caroline i spytał lekko:

— Czy mam powiedzieć parę słów do mikrofonu?

Caroline spojrzała na niego oczami jak mleczny obsydian.

— Jest tylko jedna rzecz, którą powinieneś zrobić: umrzeć!

Wycelowwała w niego rewolwer. To była własna broń Polletiego, wyjęta z wewnętrznej kieszeni jego marynarki.

Orkiestra (wynajęto specjalnie na tę okazję orkiestrę filharmonii z Zagrzebia) zabrzmiała rytmicznym, złowieszczym *paso doble*, Roy Bell Dancers skończyli dyskusję na temat sprejów do włosów i rzucili się w wir słodkiego jak miód, zdradzieckiego tańca brzucha. Kamery zaczęły jeździć tam i z powrotem na długich wysięgnikach. Przypominały zwariowaną gigantyczną modliszkę.

Zapaliły się następne sygnały. Spod skruszałej arkady wyszedł kelner w specjalnym uniformie. Popychał mały stolik na kółkach, na którym stał czajniczek i filiżanka herbaty, wszystko prawdziwe z wyjątkiem sztucznej pary, która unosiła się nad filiżanką. Na drodze kelnera pojawiła się nagle szczupła, ciemnowłosa, elegancka młoda kobieta, wytworna w swoim teatralnym ubiorze. Miała wielkie, czarne oczy wilka, lśniące tak, jakby oświetliły je samochodowe reflektory.

— Schizofreniczno-paranoidalny typ mordercy, z kocimi akcentami — mruknął pod nosem kelner. Nie wiedział, że tą kobietą jest Olga, nie wiedział też, że jego diagnoza zawiera więcej prozy niż poezji, i więcej prawdy niż dowcipu.

— Herbatka! — zdziwił się Polletti. — Czy muszę ją pić?

— Ona ją wypije — wyszeptał kelner. — Pan po prostu grzecznie tu stanie i umrze. I radzę, niech pan nie będzie zbyt sprytny. — Obrócił się na pięcie i odszedł. Był prawdziwym profesjonalistą i nienawidził takich niefrasobliwych facetów.

— Cudowna Herbata Wujka Minga! — rozległ się głos z drugiego końca Koloseum. — tak, proszę państwa, Cudowna Herbata Wujka Minga jest jedyną herbatą w torebkach, która was radośnie pokocha, weźmie z wami ślub i spłodzi małe torebeczki, jeśli tylko Wujek Ming na to pozwoli.

Polletti zaśmiał się. Nigdy nie słyszał tej reklamy, chociaż w tym roku zdobyła potrójną złotą odznakę Rady Reklamy sp. z o. o., za dobry smak, oryginalność, humor i wiele innych zalet.

— Marcello, co tu widzisz takiego śmiesznego? — Caroline zasyczała te słowa jak śmiertelnie jadowity wąż z Borneo.

— Wszystko jest śmieszne. Powiedziałem ci, że cię kocham, i że chcę cię poślubić, a ty zamierzasz mnie zabić. Czyż nie jest to śmieszne?

— Nie, jeśli mówisz prawdę.

— Oczywiście, że mówię prawdę — odparł. — Ale nie pozwól, by to ci w czymś przeszkodziło.

— ...i tak, straszliwie, beznadziejnie zakochana, Cudowna Herbata Wujka Minga woła do was: drodzy państwo, pijcie mnie, pijcie mnie, pijcie! — zakończył spiker: W pierwszej chwili jego wołania obudziły zdumienie słuchaczy, potem rozległo się kilka oklasków, aż wreszcie całe

Koloseum rozbrzmiało burzliwą owacją.

— Dwie dłonie do rozbryzgu! — rozkazał Martin.

— Dziesięć sekund do strzału — przetłumaczył Chet. — Dziewięć, osiem, siedem..

Caroline stała jak posąg. Tylko przez jej prawe ramię przebiegało nerwowe drżenie, które wprawilo w ledwo widzialną wibrację koniec lufy kurczowo trzymanego pistoletu.

— ...sześć, pięć, cztery...

Polletti stał swobodnie, uśmiech na jego twarzy wskazywał na rozbawienie, jakie w nim budził obcy jego charakterowi, chociaż w pełni ludzki dramat, w którym zupełnie przypadkowo stał się głównym aktorem. Ten uśmiech ukazywał również nastrój nietypowego spokoju, wewnętrznego poczucia, że postępuje właściwie, oraz żaloszny kawałeczek cieleciny między trzecim i czwartym zębem.

— ...trzy, dwa, jeden, ognia!

Caroline aż do szpiku kości przeszył dreszcz na myśl o straszliwej nieodwracalności tej chwili. Podniosła rewolwer powoli, chwiejąc się jak lunatyk obudzony w środku lunatycznego spaceru. Skierowała broń ku głowie Polletiego, celując dwa centymetry powyżej brwi, i instynktownie odsunęła palec od języka spustowego.

— Rozbryzg! — krzyczał Martin.

— Ognia! Ognia! — krzyczał Chet w ramach tłumaczenia.

— Wykonać natychmiast! — ryczał Martin.

— Strzelaj teraz! — ryczał Chet

Ale na scenie morderstwa nic się nie działo. Napięcie tej chwili wymykało się wszelkim opisom. Cole, najwrażliwszy i najmłodszy, osunął się zemdlony. Cheta złapał chwilowy (wcale przez to nie mniej bolesny) paraliż prawego bicepsa, tricepsa i poprzecznych wiązadeł. Martin, chociaż był twardym profesjonalistą, poczuł szarpiący ból w głębi gardła, co jak doskonale wiedział, było niewątpliwym napadem zgagi.

Obsługa techniczna i kamerzyści czekali. Roy Bell Dancers i filharmonicy z Zagrzebia czekali, widzowie na całym świecie czekali, z wyjątkiem kilku niepoprawnych, którzy wyskoczyli do kuchni po piwo. Polletti czekał i Caroline, targana niezdecydowaniem i męczona niepewnością, też czekała, aż znajdzie w sobie siłę do Hriafania

Trudno ocenić, jak długo by to wszystko trwało, gdyby nagle drugorzędny element nie wprowadził nieprzewidzianej zmiennej. Olga wybiegła spod arkady, popędziła między zaskoczonymi technikami, wskoczyła na podłogę domku i wyrwała rewolwer z rąk Caroline.

— No, Marcello, znów cię zastaję z inną kobietą!

Nie było odpowiedzi na tak zdumiewającą uwagę, która jednak zawierała w sobie prawdę (bo tak już na ogół jest z uwagami czynionymi przez wariatów).

— Olga! — krzyknął Polletti, daremnie próbując wyjaśnić niewyjaśnialne.

— Po dwunastu latach czekania — krzyczała Olga — zrobiłeś mi to! — Uniosła rewolwer, celując w przybliżeniu dwa centymetry powyżej brwi Pollettiego.

— Olga, proszę, nie strzelaj! — błagał Polletti. — Wpadniesz w kłopoty! Możemy porozmawiać o tym rozsądnie...

— Ja już dzisiaj rozmawiałam rozsądnie na ten temat... z Lidią! — poinformowała tryumfalnie. — Twoja była żona przyznała, że potwierdzenie unieważnienia małżeństwa już przyszło... nie dzisiaj, nie wczoraj, ale TRZY dni temu!

— Wtem, wiem. Mogę ci wszystko wyjaśnić...

— W takim razie wyjaśnij to! — wrzasnęła Olga i pociągnęła za spust

Broń zagrzmiała z morderczą skutecznością. Olga sapnęła ze zdumienia, przycisnęła słabnącą rękę do serca, potem obejrzała z niewiarą krew na swoich palcach i upadła, martwa jak pterodaktyl w szklanej gablotce.

— Będzie trudno to wyjaśnić — mruknął do siebie Polletti.

Caroline usiadła na łóżku i objęła głowę rękami. Cole oprzytomniał i pomyślał z dumą: „rzeczywiście zemdlałem”. Cheta opuścił paraliż, więc mógł przełączyć monitor kontrolny na dyżurny program: Wielkie Telenowele roku 1999. Grają: Le Mar de Ville, Roger Roger i Lassie.

Martin podszedł do domku, objął wszystko jednym rzutem oka i spytał:

— Co tu się dzieje?

Przyszedł również policjant, nie udało mu się objąć wszystkiego jednym rzutem oka i spytał:

— Kto tu jest Łowcą?

— To ja — powiedziała Caroline. Wręczyła mu swoją kartę identyfikacyjną, ale głowę miała cały czas spuszczoną,

— A kto jest Ofiarą?

— Ja — wyjaśnił Polletti i też podał mu kartę.

— A więc ta martwa kobieta nie brała udziału w Polowaniu?

— Nie — potwierdził Polletti.

— W takim razie, dlaczego pan ją zabił?

— Ja? Ja nie zabiłem nikogo. — Podniósł rewolwer. — Proszę spojrzeć. — Pokazał policjantowi niewielki otworek tuż poniżej kurka.

— Nie widzę tu nic nadzwyczajnego.

— Ta dziurka to prawdziwy wylot lufy. Rewolwer strzela do tyłu, rozumie pan? To mój własny pomysł, i sam dokonałem tej modyfikacji.

Caroline poderwała się na równe nogi.

— Ty draniu! Zaplanowałeś to tak, żebym skradła broń z twojej marynarki! Dałeś mi ją, żebym się sama zabiła!

— Tak by się stało tylko wtedy, gdybyś próbowała mnie zabić — zwrócił jej uwagę Polletti.

— Słowa! Słowa! — wrzeszczała dalej Caroline. — Jak mogę wierzyć w cokolwiek, co mi mówiłeś?

— Wyjaśnimy to sobie później. Kochanie, istnieje proste wyjaśnienie tego wszystkiego...

— Które — policjant przerwał ostro ich dyskusję — będzie pan musiał wypróbować najpierw wobec mnie, zamiast znieważać tę młodą damę swoją fałszerską maskaradą. — Uśmiechnął się szarmancko do Caroline, która spiorunowała go wzrokiem.

— Przede wszystkim muszę powiadomić przełożonych — policjant odpiął z pasa przenośne radio — a potem spodziewam się usłyszeć jakieś odpowiedzi na pewne pytania.

Jednak żadne z tych przewidywanych działań nie zostało zrealizowane, gdyż policjant musiał nagle i desperacko zająć się próbami wprowadzenia czegoś, co choć z grubsza mogłoby przypominać porządek.

Najpierw musiał uporać się z turystami: kilkoma tysiącami ludzi, którzy przedarli się przez kordon porządkowy na zewnątrz Koloseum oraz wszystkimi widzami z trybun, którzy koniecznie chcieli wiedzieć, co się stało, i uwiecznić to na zdjęciu. Jako następni, przepychający się między turystami, przybyli prawnicy. Kilka ich tuzinów cudownym sposobem dostało się na scenę i byli gotowi wnieść groźne pozwy przeciw Pollettiemu, Caroline, UUU Teleplex Ampwork, Martinowi, Chetowi, Roy Bell Dancers, Cole'owi, policji rzymskiej i innym, bliżej nieokreślonym stronom. Na końcu przybyło sześciu oficjalnych przedstawicieli Międzynarodowej Organizacji Polowań. Żądali oni, by Caroline i Polletti zostali natychmiast aresztowani pod zarzutem bezprawnego zabójstwa.

— Dobrze, dobrze — zgodził się zdesperowany policjant. — Zaczynamy od początku. Mam aresztować rzekomego Łowcę i jego rzekomą Ofiarę. Gdzie oni są?

— Byli tu jeszcze przed chwilą — odpowiedział Cole. — Wie pan, ja rzeczywiście zemdlałem.

— Ale gdzie są teraz? — spytał policjant — Czemu nikt ich nie pilnował? Szybko, obstawić wejścia! Nie mogli uciec daleko!

— Dlaczego nie mogli uciec daleko? — nie rozumiał Cole.

— Nie prowokuj mnie! — zaryczał policjant. — Zaraz się dowiemy, czy uciekli daleko.

I dowiedział się, ale nie było to wystarczająco szybko.

Rozdział 18

Mały helikopter, pilotowany wprawną ręką Caroline, którego nikt w Koloseum nie zauważył, wzniósł się wysoko ponad Rzymem. Żółto-szary owal areny zniknął z pola widzenia. Najpierw lecieli nad zatłoczonym śródmieściem Wiecznego Miasta, potem nad przedmieściami, a w końcu znaleźli się nad wioskami, a następnie nad zwykłymi polami.

— Jesteś cudowna — oznajmił Polletti. — Zaplanowałaś to wszystko od samego początku, prawda?

— Oczywiście. Należało podjąć odpowiednie środki ostrożności na wypadek, gdybyś mówił prawdę.

— Kochanie, nie potrafię wyrazić, jak bardzo cię podziwiam. Wyrwałaś nas śmierci i z rąk prawników prosto w ten cudowny błękit nieba, na wolność, z dala od golarek elektrycznych i lodówek...

Rozejrzał się wkoło. Lecieli nad posępnym, zbiełałym pustkowiem w kierunku niewielkiego płaskowyzu, nad którym helikopter zaczął się obniżać.

— Powiedz mi, skarbie, czy jeszcze coś dla nas zaplanowałaś?

Caroline radośnie skinęła głową i wylądowała.

— Przede wszystkim to. — Objęta Pollettiego i pocałowała go z entuzjazmem i energią, które wkładała w większość czynności.

— Mmm — powiedział Polletti i podniósł głowę. — Dziwne.

— Co, dziwne?

— Muszę mieć halucynacje. Myślałem, że słyszę dzwony kościelne.

Caroline spojrzała z tą filuterną kokieterią, która charakteryzowała jej najdrobniejszy nawet ruch.

— Słyszałem je! Znowu je słyszać!

— Popatrzmy — zaproponowała Caroline.

Wzięli się za ręce i poszli wokół małej skalnej półki. Znaleźli się nagle niecałe dwadzieścia metrów od małego kościółka zgrabnie wbudowanego w opadający granit zbocza góry. W drzwiach kościółka widać było czarną postać księdza. Uśmiechał się i kiwał do nich.

— Czyż to nie piękne? — Caroline przytuliła się do ramienia Polletiego i poprowadziła go naprzód.

— Czarujące, fascynujące i niezwykle. — W głosie Polletiego słysząc było lekki lecz wyraźny brak uprzedniego entuzjazmu. — Tak, zdecydowanie czarujące — powiedział już nieco twardszym tonem — ale nie całkowicie wiarygodne.

— Wiem, wiem. — Caroline wprowadziła go do kościółka i powiodła do ołtarza. Uklękła przed księdzem, po chwili to samo zrobił Polletti. Z nieokreślonego kierunku zabrzmiały organy. Ksiądz się uśmiechnął i zaczął ceremonię.

— Caroline, czy chcesz wziąć tego oto mężczyznę, Marcella, za męża?

— Tak, chcę! — potwierdziła żarliwie.

— A ty, Marcello, czy chcesz wziąć tę oto kobietę, Caroline, za żonę?

— Nie, nie chcę — powiedział Polletti stanowczo. Ksiądz uniósł Biblię. Polletti zobaczył skierowany na siebie colt automatic o kalibrze jakichś dwunastu milimetrów.

— Marcello, czy chcesz wziąć tę oto kobietę, Caroline, za żonę? — Ksiądz powtórzył swoje pytanie.

— Oo, tak, chyba tak. Chciałem jedynie zaczekać parę dni, żeby moi rodzice zdążyli dojechać.

— Powtórzmy ceremonię dla twoich rodziców — zapewniła go Caroline.

— *Ego conjugo vos in matrimonio...* — rozpoczął ksiądz.

Caroline szybko dała Pollettiemu obrączkę, aby mogli wymienić pierścionki zgodnie z klasycznym, starym rytuałem ślubnym, który Polletti zawsze uznawał za tak piękny. Na dworze pustynny wiatr zawodził i skarżył się; w kościółku Polletti tylko się uśmiechał i milczał.

¹ Carnivora (ang.) — mięsożerca. (Wszystkie przypisy pochodzą od redakcji).

² Per aspera ad astra (łac.) — przez cierpienia do gwiazd.

³ Jin — według tradycji kosmologii chińskiej: żeńska, negatywna zasada zawarta np. w pasywności, głębinach, ciemności, zimnie i wilgoci w przyrodzie, łącząca się i współdziałająca ze swym przeciwieństwem *jang*. (Władysław Kopaliński, „Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych”, Wiedza Powszechna, wyd. XX, Warszawa 1990).

⁴ Morfeusz — grecki bóg snu.

⁵ Tanatos — grecki bóg śmierci.